Nr. 98. Lwów — Piątek dnia 29 Kwietnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 K. 20 h; w Niemczech . . 3 „ — „; w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 K. Numer osobny we Lwowie . . 8 h, na prowincyi . . . 10 h. Numera z poprzednich dni po 20 h. Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy [illegible] i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i [illegible] przyjmuje wyłącznie: [illegible] Cena ogłoszeń: [illegible] wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: [illegible] petitem za każde słowo 6 h. [illegible] garmondem 6 h. [illegible] prywatne 8 h. [illegible] Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h. [illegible] po [illegible] wiersz petit. 1 k. [illegible] na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . 60 h.

Dziś: św. Piotra M. | Agapy
Jutro: św. Katarzyny S. | Symeona

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 52, Zachód „ „ 7 m. 3

Długość dnia godzin 14 minut 11. Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

Polityka kłamstwa.

Fałszywe położenie, w jakie hakatyzm wprowadził Prusy w ich stosunku do Wielkopolski, zmusza ministrów do okłamywania opinii niemieckiej. Germanizacyjne sposoby kosztują ogromnie drogo, a rezultaty dają marne; ustawy muszą być wykonywane, a „rząd poboczny“ na to nie pozwala. Więc z całą świadomością zmyślają ministrowie przed sejmem, że świetne są skutki germanizacyi i że jeżeli gdzieś urzędnik postąpił na przekor ustawie, to rząd nic o tem nie wie. Tak się wytworzył grunt kłamstwa, z którego ministrowie zejść nie mogą. Czuje to sejm, czują Niemcy, tonem podrażnionym potrąca o to prasa, wszyscy rozumieją, iż wyniknie z tego jakaś potworność, ogromnie szkodliwa dla państwa, ale zamykają oczy, bo się omotali nienawiścią, albo wmówionem w nich uprzedzeniem, że istnieje groźne niebezpieczeństwo polskie. Tę politykę kłamstwa odsłonili teraz nasi posłowie: p. Skarżyński w sejmie, a p. Krzymiński w parlamencie. Słuchacze ich przerywali im tylko od czasu do czasu okrzykami: „Oho! oho!“ ale nie mogli odeprzeć zarzutów. Wiele taranów bije już w Niemczech w hakatyzm, jako w kierunek, który zawiódł; mowy tych dwóch polskich posłów zapewne powiększą rozmach taranów.

W sejmie była mowa o komisyi kolonizacyjnej. Od pewnego czasu walą na nią góry Prusacy, jako na instytucyę, która chybiła celu; niech ona będzie sobie nikczemna, — to ich mało obchodzi — ale niech spełnia swe rakarskie zadanie; w dobrze urządzonem państwie kat jest także potrzebny. Ale właśnie ten kat kosztuje drogo, kompromituje Prusy przed światem, a nie robi nic. Za to spadają nań góry zarzutów i już słychać wołania: „Precz z nim!“ Aby więc ocalić to swoje ukochane dziecię, ministrowie kłamią przed sejmem o jego świetnych postępach i takich talentach, że z pewnością wyrośnie z niego genialny zbawca Prus od polskiego niebezpieczeństwa, które teraz ministrowie nazywają już słowiańskiem, bo to odrazu powiększa jego rozmiary odpowiednio do rozległości etnograficznych granic słowiańszczyzny. W ostatnim memoryale o działalności komisyi kolonizacyjnej pochwaliło się tedy ministeryum pruskie, że w roku przeszłym ofiarowano tej komisyi na sprzedaż tak dużo ziemi, że gdyby można było wszystką ją kupić, to Wielkopolska byłaby odrazu zgermanizowana. Ofiarowano mianowicie na sprzedaż 245.813 hektarów, czyli 44 mil kwadratowych ziemi! To dowód, że Polacy już się wyrzekają oporu. W tym jednym roku mogłaby komisya kupić więcej o 15.000 hektarów, niż nabyła we wszystkich razem poprzednich latach od 1886ego roku. Cierpliwości tedy! Dajcie tej komisyi działać! — Taka jest myśl ministeryalnego memoryału.

P. Skarżyński skruszył ją młotem faktów. Gdzie dowód, że tyle ziemi ofiarowano komisyi? Czemu ona nie podała nazwisk tych osób, które chciały sprzedać swe posiadłości? Rzeczywiście, rozwinął się w Wielkopolsce szał spekulacyi gruntami, a to za sprawą komisyi kolonizacyjnej, komisyi rentowej, hakatystycznego Landbanku i innych germanizacyjnych instytucyj. Gdzie jest szał, tam są jego wyzyskiwacze. Powstała tedy liczna armia agentów, trudniących się wyłącznie namawianiem jednych do sprzedaży, innych do kupna. Handlują oni — jak na giełdach — wartościami, których wcale nie posiadają. Bardzo wielu Polakom, a między nimi i samemu panu Skarżyńskiemu, zdarzało się nieraz, że agenci, nie wiedząc nawet z kim mają do czynienia, ofiarowywali im na sprzedaż ich własne posiadłości. Taki agent przychodzi do Polaka, o którym się dowiedział, że ma swobodną gotówkę, i proponuje mu kupić różne dobra, będące wrzekomo na sprzedaż; między takiemi dobrami wymienia i te, które są własnością owego Polaka. Tak samo robią agenci z komisyą kolonizacyjną, która takie oferty przyjmuje całkiem poważnie i zaraz je zapisuje do regestru dóbr podanych na sprzedaż. Tak powstała owa cyfra 245.813 hektarów, czyli 44-ech mil kwadratowych, które komisya kolonizacyjna mogłaby kupić, gdyby jeno chciała. Ale jej podobało się rzeczywiście nabyć tylko 42.000 hektarów, — piękny kawał ziemi! ładnie pracuje komisya kolonizacyjna! — tylko, czy to polska ziemia? Nie. Przeważnie niemiecka, bo polskiej w tem było jeno 3067 hektarów i więcej ani grzędy nie udało się wydrzeć Polakom. Dlaczegoż jednak tę im wydarto? Tłómaczy to fakt, że owe 3067 hektarów odrazu zaliczono do kategoryi gruntów nienadających się do parcelacyi. „Prawie połowa wszystkiej zakupionej przez komisyę ziemi (des Landes) — mówi p. Skarżyński, a tu mu xiądz Jażdżewski wpada słowem: „des Sandes“, — „tak — ciągnie p. Skarżyński — prawie połowa jej, bo 110.000 hektarów, to są zupełne nieużytki, na nich komisya osiadła prawdziwie na piasku. Tego piasku koloniści brać nie chcą, więc go zaliczono do dóbr skarbowych, z których nikomu żadnego pożytku. Dzierżawców znaleźć niepodobna, a gospodarstwo we własnym zarządzie przynosi grube straty. Polscy chłopi byliby wzięli i taką ziemię, ale im nie dają, więc oni w ostatnich latach nabyli od Niemców 46.000 hektarów. Tak oto gospodaruje komisya kolonizacyjna. Od powstania swego do dziś nabyła ona 228.553 hektarów ziemi; z tego 58 % od Niemców, a 42% od Polaków. Dlaczego tak dużo od Niemców, dlaczego wogóle od nich kupuje, kiedy przecież chodzi o germanizacyę? Tu się na rządzie pruskim zemściła sprawiedliwość. Bismark skorzystał z tego, że byliśmy zadłużeni i lekkomyślni, więc utworzył komisyę, która miała nas wywłaszczyć; rzeczywiście, z początku urwano nam ogromny obszar ziemi, ale myśmy się opamiętali, rozniecili w sobie cnoty społeczne, które kilka dni temu przyznał nam minister Posadowsky w pruskiej izbie panów, i kiedy przyszło silne przesilenie w nieurodzajnych latach 1901 i 1902-im, zdołaliśmy utrzymać ziemię, a na protegowanych przez rząd Niemców przyszła kolej odpokutować za lekkomyślność: byliby zmuszeni sprzedać całą swą ziemię chłopom polskim, gdyby komisya kolonizacyjna ich nie ratowała: od niemieckich właścicieli dóbr kupowała ona mniej więcej połowę ich posiadłości i zapłaciła im tak słono, że mogli spłacić długi i zachować sobie resztę posiadłości. Więc oto komisya kolonizacyjna jest komisyą ratunkową dla pruskich junkrów, będących hakatystami. Germanizacyjną była, lecz już jest nią zaledwie o tyle, o ile tuczy apostołów rasowej nienawiści, pasożytów pruskiego szowinizmu.

Tak w sejmie mówił p. Skarżyński o ministeryalnej polityce kłamstwa. Jednocześnie o niej mówił p. Krzymiński w parlamencie. Podał tylko jeden fakt, ale bardzo wymowny. Parlament uchwalił parę lat temu, że nazwiska, kończące się na „ski“, muszą być przy nazwiskach kobiet zapisywane na „ska“. Tymczasem urzędnicy, prowadzący księgi stanu cywilnego, zapisują te nazwiska na „ski“. Wszelkie protesta i rekursa do władz wyższych nic nie pomagają. Ministrowie odpowiadają na skargi, że sprawa będzie rozpatrzona, a nadużycie usunięte, tymczasem zaś zaleca się cierpliwość i chwilowe używanie nazwiska tak, jak je zapisano w księdze stanu cywilnego. Lecz owo rozpatrzenie sprawy nigdy nie następuje. Dlaczego? Oto, jest tajny okólnik ministra spraw wewnętrznych do urzędników, prowadzących księgi stanu cywilnego, aby z reguły popełniali takie nadużycie.

P. Krzymiński zapytał: po co się robi takie brzydkie wykręty? — i sam dał zaraz taką odpowiedź: Przypatrzcie się wszystkim manewrom rządu, a niewątpliwie się przekonacie, że aby się obronić od rosnącego socyalizmu, rząd rzuca Niemcom na żer Polaków, Duńczyków, Alzatów, to znowu katolików, rozbudza najgorsze instynkta, aby wszystkich osłabić, uwagę wszystkich od siebie odwrócić i zachować władzę. Taki jest cel polityki kłamstwa, w której mistrzem kanclerz hr. Bülow.

Pogłoski o pośrednictwie.

W prasie zachodnio-europejskiej wciąż krążą pogłoski o pośrednictwie pokojowem, które król angielski wrzekomo zaproponował carowi. Kopenhazki dziennik *Politiken*, który podobno utrzymuje stosunki z dworem króla Chrystyana, podał taką wiadomość: Król Edward w rozmowie z rosyjskim posłem w Danii, panem Izwolskim, rzekł, że wojna rosyjsko-japońska jest całkiem bezcelowa, a zatem powinna jak najrychlej się skończyć. Król bardzo chętnie przyjąłby na siebie rolę pośrednika. Na to odrzekł p. Izwolski, że car, jako wielki zwolennik pokoju, zapewne życzliwie przyjmie taką ofiarność króla. Wróciwszy do Londynu, król zaraz wezwał do siebie rosyjskiego ambasadora hr. Benkendorffa i powtórzył mu swą rozmowę z p. Izwolskim, lecz ambasador wyraził przekonanie, że teraz Rosya nie może myśleć o pokoju z łaski pośrednictwa, może go tylko podyktować, w każdym zaś razie prosił ambasador, aby go król uwolnił od udziału w tej akcyi. Wówczas król napisał list do cara i wysłał go przez angielskiego ambasadora w Petersburgu p. Hardinge. Odpowiedzi dotąd nie ma.

Wedle innych dzienników, carowa-wdowa pisała list do ojca, króla Chrystyana, prosząc go, aby nakłonił króla Edwarda do wystąpienia w roli pośrednika; według innej wersyi, carowa wdowa pisała o tem nie do ojca, lecz do swej siostry, królowej angielskiej. Jest jeszcze inna wersya, mianowicie, że król Edward rzeczywiście pisał do cara, ale nie o pośrednictwie, lecz z propozycyą takiego układu anglo-rosyjskiego, jaki Anglia niedawno zawarła z Francyą — i tylko to jest w danej chwili możliwe, a stosunek rosyjsko-japoński może być rozstrzygnięty tylko mieczem.

Ze sfer dyplomatycznych podają angielskie dzienniki taką wiadomość: Spokrewnione dwory oczywiście korespondują ze sobą i rozważają sprawę pośrednictwa. Głównie zajmują się tem kobiety, którym więcej chodzi o pomyślność krewnych, niż o subtelności państwowe. Pomijając te familijne gawędy, nie można zaprzeczyć, że także wszystkie dyplomacye stawiają przed sobą pytanie: czem wojna może się skończyć? — i coraz częściej wyrażają przekonanie, że tylko pośrednictwem, bo ani żółtego niebezpieczeństwa Europa nie chce wywoływać, ani także dopuścić do zmiażdżenia Japonii. Przyjdzie chwila, w której wszystkie mocarstwa, posiadające interesa w Azyi, powiedzą: dość wojny! — i wtedy zacznie się pośrednictwo. A na jakich warunkach powinien stanąć pokój? Na warunkach status quo ante bellum, neutralizacyi Korei i otwarcia jej dla cywilizacyi.

Ładnie to wygląda, cóż jednak się stanie, jeżeli zwycięska strona odrzuci te warunki? Jeżeli zwycięstwo będzie po stronie Japonii, jeszcze pół biedy. Pobiła ona Chiny w 1894 r., a jednak przyjęła dyktat „wschodniego trójprzymierza“ (Rosyi, Francyi i Niemiec), może więc i teraz to zrobi. Lecz jeśli Rosya będzie zwycięską, a nie zechce przyjąć takich warunków, bo to znaczy wyjść z wojny z pustemi rękami, kto weźmie na siebie zmusić ją do tego? Więc próżne to są gadania. Kto dziś prawi o pośrednictwie, ten widocznie myśli, że Japonia zwycięży.

List do Redakcyi.

(*Głos Rusinów* *).

O ile nam było miłe odczytać ustęp artykułu pióra J. Eksc. p. Bobrzyńskiego, pomieszczony w *Przeglądzie* w nrze 38 b. r., nam Rusinom przychylny, o tyle niemile nas dotknął artykuł pióra JWP. Gniewosza, pomieszczony w *Przeglądzie*, nam Rusinom nieprzyjazny, obwiniający nas niezasłużenie, iżeśmy przejmując znaczną część wiernych obrządku rz. kat. na obrządek gr. kat. temsamem uszczerbek liczebny żywiołowi polskiemu w naszem społeczeństwie zadali.

Nie przeczymy wcale, że pojedyncze wypadki zmian obrządku gr. kat. na rz. kat., jak i na odwrót z rz. kat. na gr. kat. poniekąd miały miejsce, ale o masowem przejściu ludności rz. kat. na obrządek gr. kat., autor dowodu nam nie dostarczy, podczas gdy my świeży fakt Tuczap, gdzie cała gmina gr. kat. na obrządek rz. kat. przeszła, i w dawniejszych czasach więcej podobnych faktów wykazać jesteśmy w możności. Zresztą przejdźmy się po gminach, istniejących na kresach Rusi, jak: Bachórzec, Dynów i innych, tam, gdzie niegdyś zamożne w liczbę parafian z cerkwiami licznemi (Dynów 7 cerkwi) ruskie parafie istniały, dziś ledwie szczątki i niedobitki ich pozostały. W końcu zajrzyjmy do historyi kościelnej, ileż tam nie napotykamy dawniejszemi czasy wniesionych zażaleń ze strony kapituł gr. kat. do Stolicy Apostolskiej o ucisku gr. kat. obrządku, o samowolnych jego zmianach, wszystkie te fakta dowiodą wręcz czegoś przeciwnego twierdzeniu szanownego autora. I pocóż w tej sprawie zarzut przez nas zupełnie niezasłużony nam czynić? Zresztą rzecz to mniejszej wagi, czy ten, czy ów obrządek, byle lud Boga chwalił, a obrządki temu wcale nie są na przeszkodzie.

Ale tego już naprawdę odgadnąć nie możemy, jakim sposobem mógł autor obwinić nas o to, że przyjmując wyznawców obrządku rz. kat. na obrządek gr. kat., temsamem wedle słów autora myśmy ich zruszczyli. Czyż naprawdę chce autor wierzyć, że obrządki mają moc twórczą fabrykacyi narodowości: obrządek gr. kat. Rusinów, a obrządek rz. kat. Polaków? Gdybyśmy chcieli to za prawdę przyjąć, to musielibyśmy na całej kuli ziemskiej wyznawców obrządku gr. kat. uznać za Rusinów, a wszystkich wyznawców obrządku rz. kat. za Polaków **), a z tem autor zgodzić się nie zechce, i słusznie, bo obrządek a narodowość, są odrębne pojęcia. Nasi antenaci byli niegdyś poganami, a zwali się Rusinami; przyjęli wiarę chrześcijańską, a w niej dwa obrządki gr. kat. i rz. kat., przez to jednakowoż narodowości swojej, imienia ruskiego, się nie wyrzekli.

Nawet i statystyk, obliczający w *Przeglądzie* nr. 68 liczbę Polaków, przytacza między nimi i Polaków wyznania ewangelickiego, twierdząc wyraźnie, „że wyznanie nie może stanowić narodowości“.

Manewr, zresztą w szerszym świecie wcale niepraktykowany, zaliczania do narodowości polskiej wszystkich wyznawców obrządku rz. kat. bez różnicy, chociażby i mową swą od pradziadów w rodzinie swej używaną najdobitniej udowadniali swe pochodzenie ruskie, obliczony jest na to, aby w społeczeństwie naszem wykazać przeważającą liczbę Polaków i tym sposobem nie równouprawnienie, lecz większe prawa uzyskać dla narodowości polskiej. Na to my słusznie moglibyśmy się żalić, ale my tej sprawy nie tykamy, niechże więc przynajmniej autor oszczędzi nam zarzutu, że my dążymy do podkopywania stanowiska narodowości polskiej.

Pominąwszy jednak i ten zarzut, nie pomału zdziwiło nas to, że autor między winowajców, jakoby mniej dbale stojących na straży rozwoju swej narodowości w naszem społeczeństwie, zaliczył i szlachtę. W tej sprawie pozwolimy sobie być trochę innego zdania. Wprawdzie niektórzy z młodszej generacyi naszej, zwolennicy bezwzględnej wolności, którzy nie żyli w tych dawniejszych czasach i nie byli świadkami dziejów, pozwalali sobie na oślep krytykę sypać na ową mniemaną niewolę ludu stękającego pod jarzmem zarządów dworskich, jak i na politykę — w mniemaniu ich niedołężną — ówczesnej szlachty.

Ja jednak wiekiem zgrzybiałym obdarowany, mieszkając na wsi i będąc długoletnim świadkiem dziejów ówczesnych, powodowany nie obłudą, lecz party czcią dla prawdy — muszę najpiękniejsze świadectwo złożyć szlachcie tak co do zarządu gmin, które były jej podwładne, jak i co do akcyi politycznej. Związek między dworem a gminą był rzeczywiście czysto patryarchalny. Na dworach ciężyły obowiązki: budowania cerkwi i kościołów, pomieszkań plebańskich i gospodarczych, budowy aresztów, utrzymywanie dla wygody włościan mandataryuszów, pobieranie i odwożenie podatków, odstawa rekrutów, obowiązek opiekowania się biednymi, wspomaganie chorych. Dwory utrzymywały u siebie apteki domowe, w wypadkach chorób dostarczały lekarzy; ponosiły wszelkie koszta komisyjne. W wielu dworach był obyczaj — czegośmy świadkami byli — że na święta Wielkanocne wypiekano paschę i rozdawano biedniejszym. Jak ciężkie były te obowiązki dworów, to może pojąć tylko ten, kto żył w tych czasach i widział, jak każdy grosz był wówczas w wysokiej cenie, a jak małą cenę miały płody ziemne, tak, że korzec żyta, tj. 100 kilo, płacono normalnie po jednej koronie, a za topkę soli (to nie bajki, lecz rzeczywista prawda) musiał włościanin wieść do miasta ćwierć, tj. 25 kilo jęczmienia, wartości dzisiaj 3 korony i dodać do tego jeszcze jedną kopiejkę. Jeżeli więc jakiekolwiek przyszło dworowi ponieść koszta budowy, czy utrzymania mandataryuszów, można zrozumieć, jaką masę ziemiopłodów musiał pozbywać, aby obowiązkom swym sprostać. Za to też włościanin oprócz malutkiego podatku gruntowego, który wówczas płacono od morga po 40 ct., był wolnym od wszelkich danin pieniężnych i wszelkie zyski z pola mógł na korzyść swoją obracać. A wszelkie datki, które dwór w zastępstwie jego ponosił, odrabiał włościanin robotą ręczną lub „ciągłą“ przez pewną liczbę dni, a za nadrobione dni pobierał opłatę i to nie wedle dobrowolnych cen, lecz wedle cen przez cyrkuł corocznie, tak za dni piesze jak „ciągłe“, przeznaczonych. Na tem z pewnością gmina źle nie wychodziła, mając zabezpieczone swe posiadłości i obronę na wypadek jakich nieszczęść.

Swiat piętnował taki związek z gminami zawsze jako rodzaj niewolnictwa, bo faktycznie wolność każdemu jest drogą, to też ostatecznie włościan usamowolniono i z pod opieki dworu wyjęto. Aleź i najzłośliwszy wróg musi przyznać, że szlachta, wypuszczając lud z pod swej opieki, oddała w ręce nasze lud w posiadłość ziemską zamożny, lud karny, moralny, pracowity i oszczędny. Gdyby lud ten te piękne cnoty, wychowane w nim pod zarządem dworu, do dziś był umiał zatrzymać, to byśmy go do dziś widzieli niechybnie zamożnego w posiadłość ziemską i wszelkie materyalne zasoby. Wprawdzie wobec dodatnich stron tego ludu trzeba było niezapominać o tem, że będąc zajętym wyłącznie koło roli, nie miał sposobności umysłu swego rozwijać, to też miał tę ujemną stronę, że był nieoświeconym i nieporadnym. Konieczną przeto potrzebą było, aby wyjąwszy go z pod opieki dworu nadać mu jakieś przewodnictwo, jakiś rodzaj opieki i wpływ nań inteligentniejszej warstwy społeczeństwa naszego. Lecz cóżeśmy zdziałali w tej mierze? Wolaliśmy jedynie, że lud dojrzał, trzeba mu dać samorząd. Samorząd urządziliśmy w ten sposób, żeśmy powierzyli lud ten radzie gminnej, złożonej z członków samej tej niedomagającej gminy i wyszło na to, że miał uczyć Marcin Marcina. Czyż postarano się o to, aby do składu tej rady gminnej należał bodaj na podstawie wirylnego głosu dziedzic, który miał wspólne posiadłości we wsi z gminą, albo ksiądz i nauczyciel, jako jedyna inteligencya we wsi, którzyby przy wykształceniu swem wyższem od włościan mogli podać bodaj radę, aby lud ustrzedz od upadku? Na lud ten, pozostawiony samopas, tak dobroduszny, nieoświecony i nieporadny, widząc go bez wszelkiej opieki, naleciała cała zgraja lichwiarzy, wyzyskiwaczy, pokątnych adwokatów i lud ten zupełnie obdarła i zdemoralizowała i gdy za rządów dworskich nie wolno było właścianinowi i piędzi ziemi z rąk wypuścić, dziś tysiące zagród wyleciały z ich rąk. Gdzie dawniej na włościańskich obejściach widniały stogi zboża i dwuletne, jako zasób na wypadek nieurodzaju, dziś stogi weksli i kart dłużnych widnieją po wszelkich bankach naszego kraju, tak, że gdyby chciano te wszystkie długi zrealizować, to nie wiem, czyby choć $^1/_3$ część ziemi pozostała w ręku włościan.

Gdy za rządów dworskich w czasie żniw wszystko, co żyło, ze wsi spieszyło w pole, zostawiając swe domy otwarte, a co najwięcej zasuwą drewnianą zaopatrzone, a mienia ich nie ważył się nikt naruszać, — dziś żelazne zamki nie wystarczają, i kradzieży, a niekiedy i zabójstwa nie są rzadkimi wypadkami. Słowem, lud ten upadł moralnie i materyalnie i, stojąc dziś nad przepaścią, może słuszne żale podnieść do warstw inteligentnych słowami Szewczenki: „Wmiłaś, maty, wrodu daty, kari oczeniata, no ne wmiłas doli daty — treba propadaty“. Tak i lud odezwie się do warstw inteligencyi: „wmiłas wolu daty — no ne wmiłaś namy kieruwaty“. A szkoda tego ludu, boż to korzeń naszego społeczeństwa. Skoro liście i kwiaty, wyrosłe z tego korzenia, nie zasilą go sokami wyższej atmosfery, to korzeń ostatecznie zgnić musi.

Jakie świadectwo złożyliśmy dla szlachty w sprawie zarządu gminami im poddanemi, tak samo piękne świadectwo muszę jej wypowiedzieć co do akcyi jej politycznej. Polityka szlachty nie była partyjną, lecz działalność swoją rozpościerała ona na całe społeczeństwo bez różnicy narodowości, bez różnicy obrządków, słowem, wiał za jej rządów duch zgody i poważania siebie wzajemnego.

Nie będę szukał dowodu w dawniejszych czasach i dalszych miejscowościach, lecz ograniczę się na świeższych czasach i bliskich miejscowościach, przytaczając fakta następujące: Kiedy w roku 1863 nastała potrzeba budowy nowej cerkwi w Iławczu i starostwo z Tarnopola przysłało plan na tę budowę z płaskim dachem i jedną kopułką — właściciel Iławcza ś. p. Edward Dulski, były niegdyś oficer wojsk polskich, jako patron cerkwi zwrócił ten plan starostwu z wyrzutem, że cerkiew powinna być zbudowaną w stylu bizantyńskim. Polecił zestawienie tego planu w takim stylu inżynierowi, i faktycznie wedle tego planu w stylu bizantyńskim została cerkiew zbudowaną. Ale mało tego. Gdy przyszło do poniesienia kosztów tej budowy, patron zamiast $^1/_6$ części nań przypadającej, zdeklarował się dobrowolnie do poniesienia $^1/_3$ części kosztów tej budowy. Faktycznie tak sam, jak i po zgonie jego sukcesorka ś. p. Helena z Dulskich hr. Starzyńska wypłacili na tę budowę przeszło 18.000 koron. Nie koniec na tem. Kiedy przyszło do urządzenia wewnętrznego tej cerkwi, nietylko miejscowi hrabstwo Starzyńscy, lecz i okoliczni sąsiedni obywatele, mianowicie: hrabstwo Pinińscy, hr. Koziebrodzcy, Zabielscy, Korytowscy, kosztem swym postawili w tej cerkwi boczne ołtarze, z których jeden ś. p. Domicela z Bąkowskich Dulska ozdobiła kosztownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i własnemi rękami wypracowała przepiękne antepedyum. Drugi ołtarz ozdobiła ś. p. hr. Pinińska, matka namiestnika Leona, obrazem św. Edwarda i prześlicznem antepedyum. Oprócz tych darów posiada nasza cerkiew kielichy, ornaty, poduszki ozdobne od miejscowej, jak i okolicznej szlachty. Nadto cieszy się nasza cerkiew fundacyami mszalnemi z rąk ś. p. Domiceli Dulskiej i ś. p. Heleny hr. Starzyńskiej. Aby nie wydawało się Iławcze unikatem, pozwolę sobie przejść do sąsiedniej wsi Sorocka, majętności hrabiego Michała Baworowskiego. Regułą tego dworu jest, że każdego dnia świątecznego znajduje się cały dwór ze służbą swą na nabożeństwie w cerkwi. W razie braku mszy św. w miejscu, spieszy cały dwór na nabożeństwo do cerkwi w sąsiedniej wsi. W uroczyste dni obrządku rz. kat. powołują hrabstwo bądź miejscowego, bądź sąsiedniego ruskiego kapłana dla odprawienia mszy św. w miejscu. Jest tam ochronka, utrzymywana kosztem hrabstwa, w niej mieszczą się dzieci bez różnicy obrządku, czy rz. kat., czy gr. kat. Do budowy cerkwi, jak i urządzenia wewnętrznego, przyczynił się hrabia znacznym funduszem. Z rąk hrabiny Maryi z Borkowskich Baworowskiej posiada cerkiew dary ornatów, szalów, antepedyów i kwiatów ozdobnych. Słowem, nie słychać i tam jakiejś różnicy bądź obrządkowej, bądź plemiennej.

Ale pytanie, skądże wzięły się u szlachty te fawory dla cerkwi, dla jej obrządków, względnie dla ruskości?

Rzecz łatwa do odgadnięcia. Szlachta pochodzenia bądź polskiego, bądź ruskiego, mając posiadłości swe na Rusi, której istnienia, jako części składowej niegdyś Polski, szanowny autor zaprzeczyć nie zechce — czuła się obywatelami tej Rusi. To też i poczuwali się do obowiązku względem niej, t. j. do poważania jej obyczajów, jej mowy, jej obrządku; to też dwór nie dzielił się od ludu, choć był obrządku rz. kat., chętnie śpieszył wraz z ludem do cerkwi, zajmując w niej jako patron krzesło kolatorskie, a pod względem politycznym zaliczał do swego posłannictwa obowiązek te dwie narodowości jak i oba obrządki harmonijnie łączyć ze sobą i tak żywioł ruski i polski w jedną całość zespolić. Fawory te świadczone Rusi nie ujmywały wcale nic polskości tych dworów, ani nie świadczyły o obojętności ich dla swych obrządków. Wszakże z pomiędzy tych samych Dulskich, hr. Starzyńskich, hr. Baworowskich, którzy tyle przychylności okazali dla cerkwi — antenat Dulskich był fundatorem kościoła OO. Karmelitów w Trembowli, ś. p. Edward Dulski obdarował kościół bogatą fundacyą w Trembowli, hr. Albert Starzyński takąż bogatą fundacyą kościół ościenny, a hr. Michał Baworowski zbudował obecnie w Sorocku z własnych funduszów kościół za 120.000 koron. Nie pomnę już o różnych bogatych darach szlachty do wszystkich kościołów. Wszystkie te czyny udowadniają, że serca ich były wylane zarówno dla narodowości polskiej jak i ruskiej, dla obrządku rz. kat. i gr. kat. i że polityka ich płynęła drogą sprawiedliwą, opartą na zasadzie *suum cuique*. To też i najsłuszniej wyrzekł o niej JE. M. Bobrzyński, „że szlachta szła wybitną drogę, przez historyę jej wskazaną do jednego celu“. Tak płynęła pod kierunkiem szlachty polityka w naszem społeczeństwie, opiekująca się całem społeczeństwem bez różnicy.

Niestety, dziś pojawiły się chmury w naszem społeczeństwie. Powiał wiatr północny, zimny, zlodowacił serca tak, że nie mogą one już pomieścić w sobie dwóch narodowości i obu obrządków. Zdegenerowała ta polityka do rzędu partyzanckiej, zajmując się tylko jedną częścią społeczeństwa, a zachowując wrogie stanowisko do drugiej, t. j. do ruskiej narodowości.

Pociesza nas wprawdzie autor słowy słodkiemi, że o wynaradawieniu Rusinów nikt nie myśli, że Rusini przeto nie mają się czego obawiać i chcemy wierzyć, że słowa te i chęci szan. autora są najszczersze. Jednakowoż przypatrzywszy się bliżej temu programowi zainaugurowanemu; trudno zbawienia Rusinów z niego się spodziewać. Program ten wytknął sobie czynność najpierw pod firmą obrządku rz. kat. wszystkich wyznawców obrządku rz. kat., chociażby de facto byli z antenatów narodowości ruskiej, zaliczać do narodowości polskiej i sposobem tym zmniejszyć liczbę Rusinów. Na za-

*) Od jednego z bardzo poważnych i szanowanych kapłanów ruskich, męża w wieku sędziwym, bo liczącego 87 lat, otrzymaliśmy to pismo i zamieszczamy zupełnie bez najmniejszej zmiany, gdyż rzeczą jest wielkiej wagi poznać rzetelnie zapatrywania uczciwych Rusinów, wolnych od wszelkiej nienawiści do bratniego polskiego narodu. *Przyp. Red.*

**) Jest to rozumowanie zbyt swobodne i oparte na analogii. Tymczasem rzeczą jest znaną, że wszelkie rozumowanie, oparte bądź na uogólnieniu, bądź na analogii, uważane są w logice jako nieuzasadnione i małowartościowe. *Przyp. Red.*

wadzie tej akcyi stoi jeszcze język, który jest charakterystyczną cechą plemienia ruskiego bez względu, czy ono jest obrządku gr. kat., czy rz. kat. Otóż by tę cechę zatrzeć, program orzeka, by wszystkim Rusinom obrządku rz. kat. język polski wtłoczyć.

Nie będę się tutaj opierał na naszem zdaniu, lecz pozwolę sobie odesłać szan. autora do artykułu pomieszczonego w *Przeglądzie* z r. b. nr. 72 pod tytułem „Patryotyzm ujemny", gdzie publicysta tak sławny, jak profesor Browne w Anglii, między innemi wyraźnie powiada: „że wydzieranie języka ludom podbitym, a narzucanie im mowy narodu zwycięskiego nazywa egoizmem szkodliwym. Język — to dusza narodu; straciwszy go, straci naród siebie, a wynarodowiony lud staje się niejako wyjałowionym z wszystkich dodatnich właściwości, a więc czynnikiem rozkładowym".

Po dokonaniu tego podziału Rusinów na dwie partye, t. j. partyę polską i ruską, ma się wedle programu wesprzeć partyę polską zasobami materyalnemi, oczywiście silnemi, a sposobem tym partya ruska zostanie w mniejszości, a nie mając zasobów materyalnych i nie wsparta przez nikogo, będzie skazana na zanikanie powolne i w końcu przyjdzie jej powiedzieć *requiescat in pace*.

Taki horoskop dyktuje nam program polityki zainaugurowanej. A w społeczeństwie naszem dotąd zgodnem zrodzą się antagonizmy, walki, nienawiści i nawarzy się błota zupełnie niepotrzebnego.

Twierdzenie autora, „że ze względu na akcyę Rusinów stanowisko narodowości polskiej jest zagrożone", — wobec tego, że tyle mamy kolonij polskich, które tak świetnie się u nas rozwijają, wobec tego, że Polacy posiadają tak wybitną inteligencyę na wszystkich stanowiskach i we wszystkich warstwach społeczeństwa, że administracya kraju spoczywa w rękach polskich, że Polacy mają silne wpływy w Wiedniu, — musimy przyjąć za żart przez autora wypowiedziany.

Biedna ta Ruś; de facto można ją porównać z panną posażną, która ma dużo konkurentów, ale żaden z nich nie chce jej przyznać równouprawnienia w swym domu, tylko chce być panem nad nią.

To też trafnie da się zastosować tu narzekanie Zbawiciela na nieludzkość świata, wyrzeczone słowy: „lisy mają swoje jamy, ptactwo swoje gniazda, gdzie mogą spokojnie spocząć, a syn człowieczy nie ma kamienia, na którymby mógł głowę swoją skłonić".

Tak to ponoś i z Rusinami. Ledwie milionowe plemiona, jak Kroaci, Serby, Bułgarzy drożą się swoją narodowością, a jednej Rusi bogatej w 30 milionową ludność trudno przychodzi żyć swojem życiem.

Iławcze dnia 20 kwietnia 1904.

X. Jan Biliński.

Rada państwa.

(Telegram Przeglądu)

Wiedeń 28 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu Izby posłów dosłowne odczytywanie wniosków i interpelacyi trwało do godz. $^1/_2$3, poczem nastąpiły imienne głosowania.

Interpelacye wnieśli między innemi p. Breiter w sprawie stosunków robotniczych przy budowie kolei Sambor Użok; p. Krempa w sprawie urzędowania starosty Jagoszewskiego w Ropczycach. Następnie prezydent oświadczył, że jeżeli Izba nic nie ma przeciw temu, zamierza przeprowadzić wybór deputacyi kwotowej i kilka uzupełniających wyborów do komisyi. Poseł Choc oświadczył, że przeciw tym wyborom protestuje. Prezydent odpowiedział, że wobec tego protestu wyborów nie przedsięweźmie, musi jednakowoż zauważyć, że tego rodzaju wybory dotychczas przeprowadzano zawsze bez protestu. Poseł Choc obstawał przy swoim, wobec czego przystąpiono do dyskusyi nad wnioskami nagłymi. P. Sileny (młodoczech) uzasadniał wniosek nagły domagający się popierania rzemiosł. Mówca zaatakował rząd, zarzucając mu, iż dąży do zawarcia ugody węgierskiej na podstawie § 14.

Następnie posiedzenie przerwano. Prezydent przywołał p. Steinwendera (niem. narod.) do porządku za to, że poczas mowy p. Choca powiedział: „Co ten głupiec tam plecie". P. Choc zażądał wyboru komisyi celem udzielenia nagany p. Steinwenderowi. Żądaniu temu stało się zadość.

Koniec posiedzenia o godzinie 5 popołudniu. Po posiedzeniu komisya nagany wybrała referentem dra Byka.

Wojna rosyjsko-japońska.

Paryż 28 kwietnia. Korespondent dziennika *Matin* z Portu Artura donosi, rzekomo z dobrego źródła, że rosyjska eskadra władywostocka dnia 25-go b. m. zatopiła cztery japońskie okręty przewozowe wraz z załogą 4000 ludzi.

Petersburg 28 kwietnia. Donoszą tu z Mukdenu: Japoński oddział chciał z brzaskiem dnia 26 bm. przeprawić się przez rzekę Jalu koło Sindagu. Komendant naszej przedniej straży przyjął oddział ten ogniem, a artylerya nasza zniszczyła most na Jalu, na północ od Widżu, rzucony przez Japończyków. Oddział japoński przeprawił się następnie przez Jalu na południe od Widżu po moście pontonowym. Część piechoty japońskiej, która wraz z baterą przeprawiła się przez rzekę, zaatakowała naszą pozycyę koło Tinczen, została jednak odparta. Nasza artylerya nie rozpoczęła nawet ognia.

Petersburg 28 kwietnia. Wychodzący w Porcie Artura *Nowy Kraj* ogłasza następujące postanowienia dla korespondentów pism zagranicznych przy armii rosyjskiej: Każdy korespondent musi złożyć pisemne zobowiązanie, że nie będzie rozpowszechniał tajnych wiadomości, że się wstrzyma od krytyki komendantów, że będzie opisywał fakta wiernie i że nie będzie podawał wiadomości nie skontrolowanych. Naruszenie postanowień tych, niedyskrecya i nietakt, pociągną za sobą napomnienie lub też wydalenie. Wstęp do doków i innych urządzeń, oraz używanie łodzi w porcie i przystani Portu Artura i Władywostoka jest korespondentom bezwarunkowo zakazane. Korespondenci muszą się zobowiązać, że nigdy nie będą żądali czynienia dla nich wyjątku. Po przybyciu na miejsce, korespondenci mają się zgłosić w głównej kwaterze i wykazać się tam dokumentami i uwierzytelnioną fotografią. Główny sztab przekaże ich następnie do sztabu i rejonów, gdzie będą czynni. Dalsze postanowienia zawisłe są od dotyczących sztabów. Korespondenci odpowiedzialni są za swoich lokai. Do dopuszczenia korespondenta do twierdzy koniecznem jest przyzwolenie komendanta. Jako odznakę, każdy korespondent nosić będzie przepaskę na lewem ramieniu. Wysyłanie depesz szyfrowanych jest wzbronione. Censury depesz dokonywać się będzie w głównej kwaterze, przy sztabach mandżurskich, w okręgu amurskim przez władze okręgowe wojenne w Charbinie, przez gubernatora na Sachalinie, wreszcie w Inkau, w Porcie Artura i Władywostoku.

Londyn 28 kwietnia. Doniesienia z Petersburga o rzekomych zabiegach pośrednictwa Anglii w sprawie pomiędzy Rosyą a Japonią, są zupełnie bezpodstawne.

Petersburg 28 kwietnia. Z Portu Artura donoszą, że wedle informacyi tamtejszego dziennika *Nowy kraj*, pomyślny wynik prób z łodziami podwodnemi otwiera dla zaczepnej akcyi floty rosyjskiej nowe horyzonty.

Petersburg 28 kwietnia. Admirał Skrydłow opuścił wczoraj Petersburg i udał się na pole wojny. W drodze na dworzec kolejowy, ludność urządziła mu owacyę. Na dworzec przybyli celem pożegnania go: w. książę Aleksander Michałowicz, admirał Avellan, szef sztabu marynarki admirał Rożdiestwieński. Metropolita petersburski wręczył Skrydłowowi święty obraz.

Petersburg 28 kwietnia. Rozkaz dzienny Aleksiejewa powierza jenerałowi Liniewiczowi obronę okręgu amurskiego i tymczasowe obowiązki jenerał-gubernatora tego okręgu.

* * *

Warszawski *Dniewnik*, organ urzędowy, wychodzący w Warszawie w języku rosyjskim, wysłał przed miesiącem korespondenta swojego na teatr wojny. Owóż tymi dniami pojawił się pierwszy jego list, opisujący trudności, z jakimi korespondent musiał walczyć, zanim dotarł do Charbina. W liście tym czytamy:

„Cieszyć się nadzieją prędkiego dostania się do Mandżuryi byłoby lekkomyślnością — pisze korespondent — albowiem szybkość przeciętna pociągu waha się w granicach od 10 do 16 wiorst na godzinę. Pochodzi to w części z nadzwyczajnej nierówności terenu i wielkiego ruchu pociągów, a także z przeciążenia brygad konduktorskich, a zwłaszcza maszynistów, którzy nieraz po 36 godzin nie schodzą z parowozu. Środek zaś, używany zwykle w takich razach w celu podtrzymania sił — *aqua vitae* — doprowadza niekiedy do rezultatów niepożądanych, jak się to zdarzyło na stacyi „Szarutan", gdzie maszynista, ruszywszy z miejsca, zerwał łańcuch i mało co nie pogubił wagonów. Zwrócić uwagę należy na jedną jeszcze okoliczność — na zwinięcie bufetów tam, gdzie według rozkładu powinny się znajdować. Przy szybkości 10 do 12 wiorst na godzinę i postojach po $1^1/_2$ do 2 godzin na rozjazdach, pasażerowie niejednokrotnie skazani są na głód. W Majlarze, gdzie staliśmy około 2 godziny, oficer straży pogranicznej zakomunikował, iż w odległości 80 wiorst od plantu zgromadziło się z górą 10.000 Mongołów, rzekomo pątników. Wzdłuż całej długości kolei chińskiej służbę ochronną, niezmiernie trudną i nużącą, pełnią oddziały pograniczne. Ochraniają mosty i przetrząsają okolicę w odległości 25 do 28 wiorst w jedną i w drugą stronę od plantu. W miarę zbliżania się do Charbinu coraz częstsze dochodziły nas wieści o drożyźnie i niedogodnościach, oczekujących nas w tem mieście, oraz o działalności tutejszych dostawców wszelkiego rodzaju, przemysłowców, poszukujących łatwego zarobku i różnych awanturników, którzy napłynęli z różnych stron do Mandżuryi, przedstawiającej dla nich nowe Klondyke... Późnym wieczorem przejechaliśmy most na Sungari, ochraniany przez armaty i przybyliśmy do Charbina".

Miłość w Japonii.

Neues Wiener Journal tak pisze:

Miłość jest pojęciem, które w Japonii posiada znaczenie zgoła podrzędne. Problemat miłości w naszem zrozumieniu, rola dominująca, którą problemat ten odgrywa u nas w życiu, literaturze, sztuce, jest prawie zupełnie nieznana Japończykom. Lekceważenie kobiety, będące właściwością wszystkich Azyatów, czyni niemożliwym stosunek miłosny w naszem pojęciu. Kobieta japońska nie jest wprawdzie niewolnicą, ale uważają ją za istotę niższego rzędu. Japończyk wobec kobiety czuje się panem; jej urodzenie jest dla rodziców rozczarowaniem. Uczą ją pokory i posłuszeństwa. Ulegać musi rodzicom, mężowi, a w końcu i synom własnym. Ale pomimo tak przykrego położenia, Japonka nie traci swej świeżości, naturalności, wdzięku, wesołości, uprzejmości. Wszyscy podróżnicy, którzy zwiedzili Japonię, podziwiają te zalety Japonki.

Małżeństwo w „Krainie słońca" jest stosunkowo bardzo prostą sprawą. Miarodajne są względy czysto praktyczne; miłość w naszem pojęciu należy do rzadkich wyjątków. Małżeństwa z miłości zjawiły się wogóle dodopiero wtedy, gdy kultura Zachodu zaczęła rozkwitać w Japonii. Skoro tylko młodzieniec doszedł do wieku, w którym już żenić się może, rodzice szukają mu żony. Do pertraktacyi z rodzicami panny upatrzonej używa się pośredników. Pośrednik ten, zazwyczaj jakiś przyjaciel żonaty rodziny, pozostaje przez całe swoje życie czemś w rodzaju protektora dla zawartego z jego pomocą małżeństwa i przy wszelkich sporach on bywa rozjemcą. Taki pośrednik oznacza miejsce spotkania dla przyszłych małżonków. Dzieje się to zwykle w jego własnem mieszkaniu, w teatrze, lub świątyni. Jeżeli panna nie podoba się młodemu człowiekowi, wolno mu niedwuznacznie powiedzieć: „Kwita z romansów". O wolę panny nikt się nie pyta. Japończycy sądzą, że powinna być szczęśliwą, jeżeli się mężczyźnie podoba.

Następuje wymiana podarków i rodzice młodych szukają w kalendarzu dnia szczęśliwego dla zaślubin. W dniu wesela panna ubiera się w kolor biały, w kolor żałoby, bo w dniu tym umiera dla swej rodziny, aby dom małżonka dopiero w dniu swojej śmierci opuścić. Podarków, otrzymanych od narzeczonego, nie wolno pannie uważać za swoją własność. Jako córka posłuszna, musi je oddać rodzicom. Dawniej panna młoda oblubieńcowi swojemu składała dwa wiadra, jako dar weselny, i mówiła przytem, że gdyby zdradzić miała małżonka, to niechaj jej głowa i głowa współwinowajcy spadną do tych wiader. W niższych warstwach ludności w posagu panny znajdowało się także zazwyczaj małe pudełeczko z lalki, a w niem dwa zatrute owady, samiec i samiczka. Żona musiała te owady połknąć, gdy mąż miał słuszny powód wątpić o jej wierze małżeńskiej. Jeżeli trucizna nie działała, uważano ją za niewinną, w przeciwnym razie śmierć jej uważano za dowód winy i słuszne ukaranie. A zatem coś w rodzaju sądu Bożego.

Bożek małżeństwa ma u Japończyków głowę psa. Oblubieniec i oblubienica zbliżają się do ołtarza ze świecami w ręku i świece te zapalają przy jednym płomieniu, gdy tymczasem kapłan odmawia modlitwy. Ta prosta, krótka ceremonia oznacza zawarcie małżeństwa.

Potem rozpoczyna się uczta weselna, przy której *sausau kudo* odgrywa najgłówniejszą rolę (dosłownie oznacza ten wyraz japoński: trzy razy trzy dziewięć). Nowożeńcy piją sake, czyli wino ryżowe, trzykrotnie z trzech filiżanek różnej wielkości. Nie mniej ważną ceremonią jest zmiana sukni. Skoro tylko oblubienica wstąpi w dom swego męża, zdejmuje białą suknię i ubiera się w inną, którą jej mąż dał w prezencie. Potem po raz drugi pieczętuje swój związek, pijąc sake z dziewięciu filiżanek. Ale gdy za pierwszym razem naprzód piła kobieta, a potem mężczyzna, teraz on pije przed nią, wyrażając w ten sposób swoje prawa zwierzchnicze.

Ponieważ jednak te uroczystości weselne są dosyć kosztowne, więc ubożsi rodzice pomagają sobie w ten sposób, że pozwalają córkę wykraść ze swego domu. Pewnego wieczoru — dzień został przedtem dokładnie przez obie rodziny oznaczony — znika dziewczyna. Dopiero po kilku godzinach wydaje się ucieczka i cały dom jest niby w strasznym popłochu. Przywołuje się sąsiadów i rodzice skarżą się głośno, że córka ich zniknęła... Biedactwo zostało prawdopodobnie wykradzione! Rodzice i sąsiedzi udają się potem w pozornem wzburzeniu do domu oblubieńca i znajdują tam naturalnie dziewczynę. Powstaje kłótnia, ale kuzyni pana młodego, którzy naturalnie z góry są obstalowani, usiłują rodziców uspokoić. Nowożeńcy proszą o przebaczenie, a sąsiedzi popierają ich prośby. Komedya ta trwa dosyć długo, potem następuje oczywiście zgoda i obie rodziny siadają na matach, aby opić winem ryżowem pojednanie.

Oprócz urzędowego zapoznania pary młodej przez pośredników, są jeszcze inne sposoby konkurów. I tak młodzieniec stawia np. roślinę kwitnącą przed oknem lub drzwiami dziewczyny. Gdy roślina usycha, oznacza to odkosza. Gdy panna natomiast podlewa i pielęgnuje roślinę, jest to znak dobry i chłopiec posyła niezwłocznie zaufanego przyjaciela do rodziców, aby prosił dla niego o rękę córki. Gdy przyjaciel po raz drugi odwiedza dom oblubienicy, składa podarki w imieniu konkurenta. Gdy rodzice dary te przyjmują, zaręczyny uważane są za fakt dokonany i nie mogą już być zerwane.

W nowszych czasach, jak tyle innych rzeczy, tak i obyczaje małżeńskie Europejczyków zyskują sobie w Japonii prawa obywatelstwa, a wraz z niemi zmienia się także stanowisko kobiety w kierunku równouprawnienia. Cześć Japończyków dla kultury zachodniej, dla obyczajów i zwyczajów zachodnich ujawnia się bardzo charakterystycznie w tem, że ten sam Japończyk, który w domu zawsze przed kobietą wchodzi do pokoju, natychmiast oddaje jej pierwszeństwo, gdy Japonka swój kostyum narodowy zamienia na suknię europejską.

Mały feljeton.

Krytycy.

Miałem sen. Śniło mi się, że jestem w dziwnej krainie. Zaiste była niezwykłą; rządzili nią sami krytycy.

Mieszkańcy owego kraju mieli o nich wysokie mniemanie — prawie tak wysokie, jak krytycy sami o sobie. Mieszkałem tam przez lat kilka, ale nie był to kraj wesoły — tak mi się śniło.

Początkowo w tej krainie byli autorowie, pisujący książki. Ale krytycy nie znajdowali w nich ani jednej myśli oryginalnej i dowodzili, że szkoda, aby ludzie, którzy mogą skrobać kartofle, marnowali tyle czasu własnego i, co ważniejsza, czasu krytyków na wypisywanie komunałów, znanych sztubakom, i na odgrzewanie potraw, któremi publiczność już się przejadła.

Autorowie czytali sądy krytyków, wzdychali, odkładali pióra i szli — do kartofli. Nie mając jednak wprawy w skrobaniu, wywiązywali się z tego jak najgorzej, a właściciele kartofli zalecali im gorąco tej roboty zaniechać i wracać do książek. Jakże tu wszystkim dogodzić!

W tym wyśnionym świecie byli także artyści, malujący obrazy. Krytycy oglądali je przez szkiełka.

— Niema w tem ani krzty oryginalności! — dowodzili wówczas jedni: — te same farby, ta sama perspektywa, te same kontury, te same zachody słońca, to samo morze i ziemia i niebo! Czemu ci ludzie czas tracą? Nie lepiejby to wleźć na drabinę i malować domy?

Tu krótka uwaga na boku. Nic tak nie martwi krytyka, jak myśl, że artysta czas traci. Krytycy mają bardzo wysokie pojęcie o jego wartości.

— No, no, — myślą, patrząc na obraz — ile ten człowiek czasu zmarnował na wymalowanie tego płótna, na napisanie tej książki! Mógł był wyczyścić piętnaście tysięcy par butów, albo przenieść piętnaście ton cegieł.

Nie przychodzi im na myśl, że gdyby nie ten obraz, artysta błąkałby się z papierosem w zębach, albo leżał na szeslongu i puszczał dym nosem.

Więc artyści poszli za radą krytyków, kupili sobie drabiny i malowali domy. Bo nie był to kraj zwyczajny, gdzie ludzie pozwalają krytykom się wygadać, a robią swoje. W owym kraju brano krytyki na seryo i słuchano rad krytyków.

Poeci umilkli, rzeźbiarze połamali dłuta, bo czyż jaki człowiek wykształcony zechce czytać poezyę nowoczesną, gdy może kupić Homera, albo patrzeć na inne rzeźby? gdy może oglądać Wenus milońską?

Poeci i rzeźbiarze tracili czas napróżno.

Nie pamiętam już, co im radzono robić.

Muzycy próbowali jeszcze uprawiać swą sztukę, ale przekonano ich, że to jest ciągłe „powtarzanie nut w innych kombinacyach".

Jakiś śmiałek napisał dramat. Pytałem: co o nim mówili krytycy? Pokazano mi grób autora.

A gdy już nie było ani literatów, ani artystów do krytykowania, mieszkańcy tego dziwnego kraju pomyśleli:

— Niechże krytycy zabiorą się do nas! Krytycyzm jest człowiekowi potrzebny. Ciągle to słyszymy, a przekonaliśmy się o tem na malarzach i poetach. Przynajmniej teraz czasu nie marnują. Więc i my skorzystajmy z rozumu krytyków.

Przyszli do nich i prosili o radę, a krytycy, że to nie uchylają się od roboty (bądź co bądź przyznać im to trzeba), udzielili im chętnie swoich wskazówek.

Zatem gdy człowiek dom budował, albo kura zniosła jajko, zasięgano zdania krytyków. A oni znajdowali, że budowniczym brak pomysłów — wiecznie jedne i te same drzwi, okna, sufity, wiecznie sutereny pod ziemią, a dach na wierzchu.

Tak samo z jajami: jedno podobne do drugiego, jak dwie krople wody.

Krytycy krytykowali wszystko. Zakochani pytali ich o radę, a potem żadne małżeństwo nie dochodziło do skutku.

— Moja pani — mówili krytycy po obejrzeniu młodzieńca: — niema w nim nic osobliwego. Wyjść za takiego chłopca byłoby stratą czasu.

A młodzieńcowi mówili:

— Panienka nie osobliwa. Ma tylko ładną twarz i zgrabną figurkę, dużo rozumu, anielską dobroć. Takich panien na świecie setkami. Dlaczego przyszło panu do głowy zakochać się w tej właśnie. Po co? Szkoda czasu.

Krytykowali ptaki, że wywodzą przestarzałe tryle; kwiaty, że wydają zapach zwyczajnej róży, konwalii; zarzucali powietrzu brak oryginalności (widać, że nie przebyli wiosny we Lwowie) i słońcu, że ma wciąż ten sam system.

Krytykowali dzieci. Po każdych urodzinach zwoływano ich na radę.

— Czy kto widział takie śliczne dziecko? Z takiemi nóżkami? z taką buzią? — zachwycała się matka.

Ale krytycy myśleli inaczej:

— Ta! ta! ta! Nic osobliwego! Głowa łysa, usta bezzębne, policzki czerwone: wszystkie dzieci są takie same. To poprostu plagiat. Pani straciłaś czas napróżno. Jeżeli nie potrafisz wytworzyć nic oryginalnego, to roboty zaniechaj.

Tego było już za wiele — nawet w owym kraju.

— Mamy już dosyć krytyków! — zawołano. — I wy nie jesteście oryginalni. Powtarzacie wciąż to samo od czasów Salomona. Utopimy was i będzie spokój.

— Topić krytyków! Tego jeszcze nie bywało! — zawołali oburzeni.

— Tak, to pomysł oryginalny! Powinniście być uszczęśliwieni. Dalej do wody!

I potopili krytyków i wydali prawo, uznające krytykę za zbrodnię pogłówną.

Odtąd literatura i sztuka poszły zwykłemi tory, a w kraju zrobiło się jaśniej i weselej.

Jerome Jerome.

Co i o czem piszą.

X. Szkopowski rysuje w warszawskim *Wieku* obraz społeczeństwa naszego w Królestwie polskiem tak strasznie, że wprost wierzyć się temu nie chce, a jednak wierzyć temu potrzeba, bo trudno przypuścić, aby kapłan, zajmujący do tego wybitne stanowisko katechety w Warszawie, chciał w poważnem piśmie robić tak ostry zarzut naszemu społeczeństwu, nie mając na jego poparcie żadnych dowodów. Następnie, gdyby zarzut ten nie był słuszny, to przecież ludzieby zaprotestowali w taki, czy w inny sposób. Wreszcie redakcya *Wieku* byłaby się starała w jakimś dopisku zmitygować siłę zarzutu i osłabić to nader smutne i przygnębiające wrażenie, jakie sprawia artykuł xiędza Szkopowskiego. X. Szkopowski pisze:

Jakaś straszna namiętność owładnęła wszystkiemi sercami, zatruła umysły, splugawiła myślenie, znieprawiła wolę. Patrzę, oglądam się na wszystkie strony... zdumiewam się! Co to jest? Co to będzie?

Zkąd przyszła ta zaraza, co za siła choroby strasznej, co splugawiła wszystko i wszystkich? Co wszystkich ogłupia?

Na imię jej: gra!

Jeżeli jestem ślepy, albo chory i źle widzę, dowiedźcie mi tego. Ucieszę się z całego serca, że się myliłem. Ale nie dowiedziecie mi!

Zbyt długo patrzę na to. Bywałem dużo, poznałem ludzi w mieście, na wsi i w małych miasteczkach, ludzi z rozmaitych stanów i sfer, a com się nasłuchał...

Piszę z doświadczenia swego i innych.

Nie przedstawiam wam poszczególnych ludzi, których znałem, bo nie chcę pisać paszkwilów, ani jakiegoś jednego lub drugiego domu, ale ludzi wogóle i dom przeciętny każdej sfery. Chcę pokazać człowieka owładniętego namiętnością, dom zarażony chorobą od suteren aż do czwartaka.

Przejdźmy się po Warszawie...

— Niechże xiądz będzie łaskaw do nas.. Ale przepraszam, czy xiądz gra w winta?

— Co, nie?.. Pewnie tłuczecie tego starego preferansa, to dobre na bardzo głębokiej prowincyi, ale w Warszawie!...

— Co i preferansa nie?... a do licha, czyżby wist?... — mojemu interlokutorowi przeciąga się twarz. — To xiądz nie gra?... ale to nic nie szkodzi, już my księdza prędko nauczymy!

Wchodzę.... Pełno gości. Przedstawienia.... Budzę ogólną uciechę, wszyscy bardzo radzi. Jak to się dobrze złożyło, właśnie spóźnia się czwarty do piątego stolika....

Nie gra w winta!... Ale to nie szkodzi, urządzimy preferka. Radzca gra, naczelnik nie lubi, ale da się namówić, moja żona lubi, no i xiądz...

— Nie gra wcale!...

Gdybym miał pojedyńczych członków po parze, a parzystych po jednej sztuce, np. jedną rękę i nogę, a za to dwa nosy, nie patrzyliby ludzie na mnie z takiem podziwieniem!

Xiężе, jaką sobie starość gotujesz!

Zostaję sam.

Z kim tu gadać i o czem? Patrzę, przy stolikach siedzą wszyscy obecni literaci, dziennikarze, autorzy dramatyczni, operowi, powieściowi, naukowi ściśle i mniej ściśle, artyści śpiewający i mówiący, jeden obecny kolega itd. itd.

— E przesada, xiężе!... Przecież wszyscy obecni nie pomieściliby się przy tych kilku marnych stolikach.

— Tak, to prawda, ale patrzcie państwo, że ci co nie grają, stanowią galeryę i to galeryę, biorącą żywy udział w grze. Grają wszyscy. Mężczyźni i kobiety. Starzy i młodzi. Młode kobiety rozdają karty z wprawą starych szulerów.

Młodzież „ucząca się" wymyka się z domu. Gdzieś na czwartaku wynajęty pokoik, w którym młode latorośle zgrywają się do białego dnia.

Czy naprawdę chcecie dowodów?...

Służba co chwila się spóźnia. Trzeba wołać lokaja raz, drugi, trzeci. Co jest?

Bardzo naturalne! Państwo sobie, służba sobie. Przecież ci „wydziedziczeni od losu" muszą także skończyć „robra".

Przedewszystkiem kolacya się spóźnia. Kucharz wpadł na szlema bez iluś tam, kolacya przypalona, przydymiona, dwa razy osolona etc.

Potem goście spóźniają się do kolacyi. Przecież trzeba skończyć „robry".

Nakoniec wszyscy spóźniają się do domu i idą nad ranem spać...

Przecież trzeba było skończyć grę.

Wychodzę.

Stróża nie można się dopukać. Ha, trzeba być cierpliwym. Biedny człowiek napracował się przez dzień cały. Trudno!

Jednak on za długo nie otwiera bramy.

„Przypadkiem" zaglądam przez szybę. Boże! Grają w karty. Nareszcie stróż, widocznie „wygrany", bo gwiżdże na moją „dyskę", otwiera mi podwoje.

Suterena mocno oświetlona, okna parterowe nad nią w dubelt. Trudno, jużem raz zgrzeszył ciekawością...

Na parterze salonik elegancko umeblowany, zielony stolik i karty. W suterenie mieszka szewc, znam go, a raczej on zna moje buty. Grają w karty.

Wracam z lekcyi. Malcy pod ścianą grają w guziki. Biedni ludzie, „wydziedziczeni od losu" nie mają na karty. Przyglądam się bliżej partnerom... Moi uczniowie; właśnie dziś mówiłem o służeniu Bogu, o szanowaniu czasu. W tej chwili wszyscy przegrywają, bo zoczywszy mnie zmiatają co sił z placu.

Z ciężkiem sercem wstępuję po drodze do składu węgli. Ani żywej duszy, tylko kupa węgli a na środku kosz do połowy napełniony... Pukam do budki, otwierają się drzwi; zdążyłem zobaczyć pięciu chłopów i bardzo zatłuszczone karty.

Na schodach siedzą na oknie dwaj malcy i rzną sobie w karty. Chłopcy po 14 lat.

Dopiero teraz przypominam sobie, że onegdaj widziałem nad Wisłą, gdzie mam moje dwie szkoły, jakichś dwóch drągalów grających w pasek. I tegoż dnia widziałem w śródmieściu bardzo okazały, z oknami okratowanemi pałac, przed nim karety. Wszyscy grali. I panowie i lokaje.

W dalszym ciągu przewiduje x. Szkopowski, że wkrótce, gdy się rozpoczną wyścigi, wszyscy ci, którzy teraz grają w karty, będą grali w „totalizora": będą przegrywali majątki, robili długi, rujnowali się, tracili honor i imię uczciwe, niszczyli zdrowie i deprawowali duszę.

Ale zadajmy sobie pytanie: cóż jest wart naród, który takie życie prowadzi? I to naród w niewoli, który obowiązany jest odradzać się i życiem moralnem zapracowywać sobie na warunki niezależnego bytu.

KRONIKA.

Lwów 28 kwietnia.

Odznaczenie. Cesarz nadał profesorowi szkoły realnej w Stanisławowie, Edmundowi Bączalskiemu z okazyi przeniesienia go w stan spoczynku tytuł radzcy szkolnego.

Z armii. Cesarz zamianował podpułkowników: Jana Pregelja z 17 pp. obr. kraj. w Rzeszowie, komendantem tego pułku, a Jana Weissmanna z 32 pp. obr. kraj. w Nowym Sączu komendantem 34 pp. obr. kraj. w Jarosławiu.

Nowa kolej lokalna. Ministerstwo kolei udzieliło pozwolenia na wykonanie przedwstępnych robót technicznych, na przeciąg jednego roku dla budowy normalnotorowej kolei lokalnej z Przemyśla przez Bircz do Sanoka, właścicielowi dóbr Stanisławowi Kowalskiemu w Birczy wspólnie z właścicielem kopalń węgla Mieczysławem Mniszek-Buzeninem w Birczy.

Przed laty pięćdziesięciu. Dnia 24 kwietnia 1854 r. odbył się w Wiedniu ślub Cesarza Franciszka Józefa z księżniczką Elżbietą bawarską. — Ówczesny ambasador austryacki przy dworze paryskim, baron Hübner, był zaproszony na tę uroczystość i w swoich pamiętnikach pozostawił następujący jej opis: „Dziś odbyły się zaślubiny. Zgromadzeni w salach Burgu członkowie rodów panujących, najwyżsi dygnitarze dworu, oraz radzcy tajni i szambelanowie stanowili orszak weselny, który korytarzami Burgu udał się do kościoła dworskiego św. Augustyna. — Przy ołtarzu stało blizko pięćdziesięciu biskupów. Arcybiskup wiedeński kardynał Rauscher wygłosił mowę, którą uznano powszechnie za zbyt długą, wskutek czego przezwano mówcę żartobliwie „Plauscher". Cesarz i Cesarzowa stanowili parę zachwycającą. O wpół do dziewiątej salwy armatnie ogłosiły ludności, że wymieniono pierścionki ślubne. — Z kościoła pośpieszył orszak do sali ceremonialnej Burgu. Panie zbliżały się kolejno do tronu, na którym zasiedli Cesarstwo, składały ukłon Cesarzowi i całowały rękę Cesarzowej. Panowie defilowali kolejno z dworskimi ukłonami. Później dowiedzieliśmy się, że młoda Cesarzowa nie chciała początkowo nic słyszeć o całowaniu ręki przez damy dworu, starsze od niej. Cesarz musiał jej z trudem tłómaczyć, że wymaga tego zwyczaj odwieczny. Ten mały zakulisowy epizod usposobił damy dworu bardzo korzystnie dla Cesarzowej, która istotnie jest jeszcze zupełnem dzieckiem. O dziesiątej wszystko było skończone".

Odrzucenie protestu. Wydział krajowy odrzucił protest p. Wienczysława Budzynowskiego, wniesiony przeciw uchwale Rady miejskiej, która ofiarowała kawał gruntu, będącego własnością gminy, a znajdującego się w pobliżu szkoły św. Zofii, pod budowę kościoła OO. Redemptorystów.

Odsetki od zwróconych podatków. Trybunał państwa wydał wczoraj ważne dla szerokich kół opodatkowanych orzeczenie. Kwestya, którą miano rozstrzygnąć, opiewała: jeżeli przypisanie jakiegoś podatku zostanie zniesione wskutek rekursu i jeżeli wskutek tego podatek zapłacony już zostanie stronie zwróconym, czy należą się jej oprócz zwrotu tego nienależącego się podatku także i odsetki tytułem wynagrodzenia od dnia dokonanej zapłaty? Trybunał państwa przychylił się do żądania strony opodatkowanej i przyznał jej odsetki. W motywach podniesiono, że obowiązek zapłacenia odsetek stanowi pojęciowo tak nierozłączną część obowiązku zwrotu samych podatków, uiszczonych przez stronę bez prawnej podstawy, że odłączenie ich byłoby tylko wówczas możliwem, gdyby istniał wyraźny na to przepis ustawowy.

W sprawie sporu p. Mięsowicza z gminą m. Lwowa otrzymaliśmy następujące pismo:

„Mylną jest wzmianka w dziennikach, jakobym został ze służby miejskiej wydalony, gdyż wydala się urzędnika za jakieś przewinienie na mocy postępowania dyscyplinarnego, ja zaś zupełnie honorowo odszedłem z magistratu, a mianowicie tak: pan prezydent miasta wezwał mnie dwukrotnem pismem do podania się po 9-letniej służbie na emeryturę, co też chętnie uczyniłem i magistrat na swojem posiedzeniu przyznał mi emeryturę. (Odnośna uchwała magistratu niestety gdzieś zaginęła i sądowi nie została przedłożoną). Tymczasem rada miejska, u której nie miałem szczęścia, nie akceptowała uchwały magistratu i przyznała mi zamiast emerytury odprawę, której jednak nie przyjąłem, lecz szukam słuszności w drodze legal-

nej, u władz państwowych, nie zaniedbując toku instancyi i pilnując terminów. Obecnie sprawa ta dla ustalenia kompetencyi oprze się o trybunał państwa. *Albin Mięsowicz*

autoryzowany geometra cywilny we Lwowie.

Polacy na wystawie spirytusowej w Wiedniu. Komitet wykonawczy galicyjski uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby Polacy zaprezentowali się dobrze na wiedeńskiej wystawie spirytusowej, prywatni jednak wystawcy nie bardzo dopisali. Przedewszystkiem szkoda, że nie wystąpiły fabryki likierów. Oprócz firmy J. A. Baczewskiego wszystkie inne firmy zadowoliły się wzięciem udziału w wystawie zbiorowej, na którą złożyły się: Fabryka arcyksiążęca w Izdebniku, hr. Romana Potockiego w Łańcucie, dra Jana Zdunia w Rabie Wyżnej, Schwanenfelda w Tarnowie, hr. Drohojowskiego w Bolanowicach i galic. akc. Towarzystwo rafineryi spirytusu we Lwowie. Nadto firma Hawełki zaprezentowała swoje pyszne nalewki i miody.

Głównym jednak objektem jest zbiorowa wystawa gorzelń galicyjskich. W imponującym długością szeregu stoją amfiteatralnie ugrupowane flaszki ze spirytusem; niżej kartofle, w pięknych, według krajowych motywów ozdobionych woreczkach, jęczmień, słód, kiełki słodowe, słowem wszystko, potrzebne do wyrobu wódki, a nadto fotografie, plany, grafikony i t d. Ta wystawa jest istotnie imponującą i naprawdę odpowiada celowi, a złożyło się na nią kilkaset gorzelni. Dołączone zaś mapy statystyczne dają wyobrażenie o ogromie całej produkcyi.

Za pośrednictwem polskiego Towarzystwa gorzelniczego wystawili zajmujące dla fachowców aparaty i różne objekta: Antoni Janik z Bołszowiec, K. Hordyński, Bolesław Jaworski z Poturzycy, Franciszek Guniewicz z Podhanec, Albin Bilicz z Zarawinki, Stef. Tokarski z Boratyna, M. Szulc z Wymysłowa, Fr. Chmurski z Strzałek, Piotr Hrycek z Krukienic, L. Moszczyński z Kołodziejówki, Stanisław Trznadel z Andryanowa, J. Geneja z Czyszki, St. Piekucki i samo Towarzystwo gorzelnicze. W dziale maszyn istotnie imponująco przedstawia się fabryka Sanocka, jak również firma E. Bredt i Sp. w Ottynii.

Browary galicyjskie, między któremi jest wiele pierwszorzędnych, ograniczyły się również tylko do wystawy zbiorowej.

Osobno wystąpili: prof. Steingraber, który wystawił fotografie i plany laboratoryum dla przemysłu fermentacyjnego przy krakowskiej szkole przemysłowej i wiele aparatów; między nimi jeden swego własnego pomysłu, drugi prof. Chrząszcza; krajowa szkoła gorzelnicza w Dublanach, która dostarczyła bardzo wiele zajmujących przedmiotów; Wydział krajowy wystawił bardzo zajmujące grafikony statystyczne przemysłu spirytusowego. Dr. Franciszek Bandrowski grafikon, odnoszący się do fabrykacyi drożdży. Obfitą i pięknie zestawioną jest wystawa p. Gustawa Szaszkiewicza, właściciela dóbr Rzemień. Towarzystwo polskich gorzelników wystawiło modele i mapy.

Z Lubienia piszą nam: Spodziewając się w tym roku większego napływu gości, czynią się w Lubieniu ogromne przygotowania, ażeby wszystkich przekonać, że w kraju mamy daleko lepsze wody niż za granicą, a urządzenia nasze choć może nie są tak zbytkowne, to przecież doskonale odpowiadają celowi. Poczyniono też ogromne inwestycye, usunięto wszelkie braki, postarano się o wszystko, co do wygody lub uprzyjemnienia pobytu przyczynić się może. Z powodu kolei w miejscu ruch wycieczkowy będzie się teraz niewątpliwie do Lubienia kierował, zwłaszcza, że śliczny park, kąpiel w Wereszycy, doskonała restauracya i dobra muzyka zakładowa stanowić będą z pewnością ogromną atrakcyę dla Lwowa i okolicy. Wobec wielkich inwestycyi i kolei w miejscu można mieć uzasadnioną nadzieję, że Lubień wkrótce zajmie pierwsze miejsce między zakładami o wodach siarczanych.

Z pobytu Loubeta w Rzymie. Z Rzymu donoszą telegraficznie pod datą 27 kwietnia: Illuminacya, urządzona na cześć prezydenta rzeczypospolitej francuskiej, wypadła imponująco. Widziana ze wszech stron miasta legendarna terasa na Monte Pincio w szacie wczorajszej przedstawiała się jak fantastyczny obraz z bajki: Loubet zachwycony powtarzał kilkakrotnie: *magnifique!* Do podniesienia blasku przyczyniły się gęsto rozstawione żyrandole. O godzinie 8 wieczorem odbyła się wielka mandolinata; uczestnicy wystąpili w przepysznych kostyumach weneckich. O godzinie 9 usłyszano potężny wystrzał. Był to znak rozpoczęcia palenia ogni sztucznych. Zapalono je obok mostu Małgorzaty, naprzeciw przyszłego porto Tiberino. Wszystkie ognie były strzeliste i można je było widzieć ze wszech stron miasta. Widowisko było podzielone na kilka części. Jedna z nich przedstawiała huragan z błyskawicami, piorunami, inna wybuch bomb, które wyrzucały chorągiewki francuskie i włoskie. Później pękały bomby ciężkiego kalibru, przyczem na nieboskłonie okazały się obrazy alegoryczne; widowisko zakończyła „walka piekielna", w której całe miasto tonęło w morzu różnobarwnych ogni.

Były minister spraw zagranicznych, Prinetti, który się niemało przyczynił do zbliżenia się francusko-włoskiego, otrzymał od Loubeta w darze serwis z porcelany sewrskiej z jego inicyałami.

Napływ obcych do Rzymu jest niesłychany; samych cudzoziemców bawi tu 70.000. Urząd telegraficzny w oblężeniu; zajętych jest 400 urzędników, prócz miejscowych pracują przybyli z Florencyi, Genui, Medyolanu i Wenecyi.

Dziś przed południem wręczono Loubetowi w imieniu m. Rzymu tryptyk pamiątkowy, wykonany przez prof. G. Collini. Na tryptyku jest wypisany adres, w którym jest powiedzianem, że Loubet jest żywem uosobieniem uczuć głębokich, jakie jednoczą we krwi, historyi, we wspomnieniach i nadziejach dwa wielkie narody łacińskie. W adresie jest cytat z „Wiktora Hugo":

„Nous tous cherchons, quel est le nom de l'esperance? Nous dirons „Italie! et tu repondras „France".

(Wszyscy pytamy, jak jest na imię nadziei? My powiemy: „Włochy!" a ty odpowiesz: „Francya").

W ciągu dnia odbędzie się wielkie przyjęcie w ambasadzie francuskiej, wieczorem przedstawienie galowe w Teatro Constanzi. Jutro z rana odjedzie Loubet do Neapolu.

Upominki Loubeta dla dzieci króla włoskiego. Jadąc do Rzymu, zabrał prezydent republiki francuskiej Loubet skrzynię z zabawkami dla córek króla włoskiego, Jolanty i Mafaldy. Zakupnem zajęła się żona prezydenta. Jak donosi *Petit Parisien*, pomiędzy zabawkami posiada artystyczną wartość jadalnia dla lalek w stylu normandzkim, wykonana po mistrzowsku.

Ciekawa statystyka. Austrya posiada 1017 baronów, a 5345 hrabiów. Obie te cyfry są trochę dziwne, lecz jeszcze dziwniejszą jest trzecia wykazująca, iż w Austryi żyje 7281 książąt, a trudno wprost uwierzyć, aby w tem państwie zamieszkiwało 3286 biskupów, 8568 królów i 9630 cesarzy. A jednak statystyka wykazuje, że jest rzeczywiście w Austryi taka liczba ludzi mających prawo nazywać się Kaiser, König, Fürst, Graf, Baron i Bischof. Skłonność do tego rodzaju nazwisk mogłaby jakiemu głębokiemu badaczowi nasunąć wniosek, że Niemcy austryaccy mają popędy arystokratyczne, ale na przeszkodzie temu wnioskowi stoją dwie inne cyfry, wykazujące, iż w państwie trafik, stempli i loteryi liczbowej oddycha obstrukcyjnem powietrzem 80.000 Müllerów i 107.118 Mayerów.

Degradacya członków czynnych Towarzystwa szpitalika św. Zofii. Komitet tego Towarzystwa rozesłał onegdaj członkom swoim dodatek do sprawozdania za rok 1903, w którym wykazał, że 58 członków czynnych zaliczono do członków wspierających, albowiem nie uiścili rocznej kwoty, do płacenia której się zobowiązali. (Członkowie czynni płacą rocznie najmniej ośm koron, członkowie wspierający składają jakąkolwiek kwotę jednorazowo). Ponieważ ta deklasyfikacya pozbawia owych 58 członków prawa brania czynnego udziału w walnych zgromadzeniach, a tem samem odsuwa ich od wpływania na sprawy Towarzystwa, uchwalili oni na odbytej w tym celu naradzie wnieść protest na ręce prezesowej Towarzystwa szpitaliku św. Zofii, pani Seferowiczowej, oraz złożyć do jej rąk 221 koron, z którem zalegali.

Pani Seferowiczowa deputacyę zdeklasyfikowanych członków i ich protest przyjęła, lecz odmówiła przyjęcia pieniędzy, tłumacząc się dokonanem już zamknięciem rachunków.

Z pola wojny. *Daily Express* donosi, że kolej między Portem Artura a Niuczwangiem jest przerwaną i że Japończycy wylądowali pod Niuczwangiem.

Skutki strejku kolejarzy. Z Budapesztu donoszą, że rząd węgierski wydał polecenie, aby w dniu 1go maja nie wypłacono pensyi tym urzędnikom kolejowym, którzy zostali zasuspendowani lub zaaresztowani. Wszyscy urzędnicy, którzy do dnia 26go kwietnia nie zgłosili się do służby, mają być uważani za dymisyonowanych. Prócz tego rząd węgierski polecił wszystkim prokuratoryom państwa, aby wytoczyły śledztwo karne wszystkim urzędnikom na wszystkich stacyach, jeżeli się okaże, że namawiali do bezrobocia.

Samobójstwo na scenie. Z Paryża donoszą, że jeden z aktorów teatru „Palais Royal", niejaki Gravier, stojąc podczas przedstawienia przy pierwszej kulisie, strzelił do siebie trzy razy z rewolweru i ciężko się zranił. Przyczyną samobójstwa ma być zdrada kochanki.

Jasna Góra w Ameryce. Przed pięciu laty jeden z Polaków, zamieszkałych w Milwaukee, Michał Chruściński, garbarz, legował 30.000 dolarów na zbudowanie kościoła wedle planów Jasnogórskiego w Częstochowie. Inni Polacy w Milwaukee zawiązali zaraz komitet budowy, rozpisali składki i dziś rozporządzają już sumą zwyż 109.000 dolarów (pół miliona koron). Obecnie zabrano się tam do wykonania tej pięknej myśli.

P. Ludwik Kreibich, Polak, urodzony w Warszawie, lecz od 17-go roku życia zamieszkały w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, z zawodu architekt, buduje w Milwaukee, a raczej pod Milwaukee w odległości czterech kilometrów kościół najdokładniej podobny do kościoła Jasnogórskiego w Częstochowie.

Kardynał Puzyna i architekt Odrzywolski. Z Krakowa piszą: W wielkiem dziele odnawiania katedry na Wawelu nastąpił zwrot nieoczekiwany. Kierujący robotami odnawiania budowniczy, prof. Odrzywolski, spełniwszy chlubnie przeważną część swojego zadania, uporządkowawszy nawę prezbiteryum i kilka większych kaplic, usunął się od dalszego udziału w pracach i w tych dniach oddał inwentarz katedry X. kardynałowi Puzynie.

Od tej chwili dalsze roboty uzupełniające prowadzić będą sami rękodzielnicy, zatrudnieni przy katedrze; naczelny zaś dozór i kierownictwo artystyczne przechodzi w ręce X. kardynała.

Co prawda, wobec wyczerpania funduszów, zebranych na odnowienie katedry, i słabnącej ofiarności na cel powyższy, zaszła konieczność odroczenia na czas nieograniczony dalszych, pierwotnym planem objętych robót, w każdym jednak razie usunięcie się prof. Odrzywolskiego od kierownictwa dalszego odbić się może niekorzystnie na tych dalszych robotach uzupełniających, które jeszcze pozostają do ukończenia pierwszej połowy planu ogólnego.

Usunięcie się prof. Odrzywolskiego jest dobrowolne, rozstaje się on z kardynałem Puzyną w najlepszej harmonii; mimo to jednak jest tajemnicą publiczną, że na decyzyę zasłużonego budowniczego wpłynęło stanowisko opozycyjne kardynała wobec jego projektów.

Czas europejski. Z dniem 1go maja zaprowadzony będzie na pocztach i w telegrafach w Galicyi czas środkowo-europejski.

Zwrot ku lepszemu. Pisaliśmy już wielokrotnie o nadzwyczaj łagodnych wyrokach naszych sądów i o tem, że w wielu wypadkach łagodna kara nietylko nie odstrasza zbrodniarza od zbrodni, ale może się nawet stać dla niego pewnym rodzajem odurzenia moralnego, pozbawiającego go zdolności jasnego odróżniania tego, co jest zakazanem, od tego, co jest dozwolonem. Zapisać więc nam wypada dzisiaj, iż te zapatrywania nasze podzielać już zaczynają niektóre sądy. Bo oto właśnie wczoraj zapadł w Krakowie wyrok, który w świecie zbrodniarzy wywrze niewątpliwie bardzo zbawienne wrażenie.

Rzecz się tak miała: Niejaki Płoszaj, wyrobnik, 24 lat liczący, hultaj i złodziej, napadł tej zimy na plantach w Krakowie jakiegoś staruszka, zdarł z niego futro i odebrał mu portmonetkę zawierającą parę koron. Z tego powodu stanął wczoraj przed ławą przysięgłych, a gdy ona wydała werdykt potwierdzający, sąd krakowski skazał go na 10 lat ciężkiego więzienia.

Jeszcze parę lat temu, a byłby ów Płoszaj dostał najwyżej dwa lub trzy lata więzienia.

Surowośc wyroków podniesie niezawodnie moralność publiczną.

„Curriculum vitae" Bodnara. Jak już donieśliśmy, aresztowano tymi dniami w Samborze i odstawiono do sądu karnego w Stanisławowie niejakiego Bodnara, podejrzanego o kradzież planów mobilizacyjnych i znacznej gotówki ze stanisławowskiej kasy wojskowej. Pokazuje się teraz, że to nie był debiut Bodnara i że jego życie pełne jest przygód awanturniczych oraz czynów będących w niezgodzie z kodeksem karnym. Oto w jaki sposób kreśli w *Kuryerze lwowskim* historyę życia Bodnara jeden z jego kolegów szkolnych.

„Antoni Bodnar, urodzony w Borszczowie w r. 1874, uczęszczał do niższego gimnazyum w Czerniowcach, poczem przeniósł się do Kołomyi. W klasie VI, uroiwszy sobie, że go śp. profesor Wasilkowski prześladuje, strzelał do siebie dwa razy w głowę, a raz w piersi, nic sobie jednak nie zrobił. Kule z głowy mu wyjęto, a kulę w piersi, jako nieszkodliwą — gdyż operacya była bardzo niebezpieczną — pozostawiono. Po tym wystąpie publicznym musiał naturalnie ze szkół wystąpić, poczem udał się do kongregacyi w Rzymie, gdzie pozostawał aż do r. 1897, w którym wzięto go do wojska. Służył przy 95 pp. w Stanisławowie, gdzie był przydzielony do komendy stacyjnej. Po dwuletniej służbie, korzystając z zaufania, jakiem się cieszył u przełożonych, przywłaszczył sobie kilkanaście złr. i umknął. Przez jakiś czas nie było o nim słychu, gdyż wszelkie poszukiwania spełzły na niczem, aż dopiero przed kilku laty w hotelu w Czerniowcach zameldował się młody człowiek jako słuchacz filozofii i usiłował się tam struć. W wyleczonym niedoszłym samobójcy poznano Bodnara dezertera i oddano go do aresztu garnizonowego, skąd stawiony przed sąd wojskowy, otrzymał za kradzież i dezercyę karę 3-letniego ciężkiego więzienia. W krótkim czasie po wyjściu z więzienia, zeszłego lata, odkryto w Stanisławowie kradzież planów mobilizacyjnych i kasy wojskowej, i podejrzenie odrazu padło na Bodnara Mimo gorliwych poszukiwań przez policyę i żandarmeryę, udało mu się dotąd zawsze zmylić tropy, aż wreszcie ucho się urwało i niebezpiecznego ptaszka ujęto w Samborze".

A oto w jaki sposób zaaresztowano Bodnara: Z końcem sierpnia 1903 roku przebywał on przez trzy dni w hotelu centralnym w Samborze, gdzie zameldował się pod swojem imieniem i nazwiskiem, a gdy wyjechał z Sambora, pozostawił kufer z rzeczami u portyera hotelu i po kilku miesiącach za pośrednictwem jednego ze swoich przyjaciół zamieszkałego w Samborze polecił kufer ten odesłać do swego ojca do Borszczowa, co się też stało. Od tego też czasu wszelki ślad za nim zaginął, a list gończy pojawił się *post festum.* Żandarmerya samborska ciągle czuwała i wyczekiwała pojawienia się Bodnara w Samborze, wychodząc z tego założenia, że skoro on ma tu przyjaciół, to czy prędzej czy później napewno się zjawi. Istotnie nie pomylono się w kombinacyi. Dnia 21 b. m. zjawił się Bodnar niespodzianie w hotelu Centralnym z zapytaniem, co się stało z kufrem, pozostawionym zeszłego lata. Żandarmerya powiadomiona o stawieniu się Bodnara przyaresztowała go natychmiast. Prócz dwóch kufrów na kolei pozostawionych znaleziono przy nim masę kosztowności, gotówką 12.358 K. 32 h., nabity rewolwer repetierowy, strychninę, paszport na imię Alojzego Fröhlicha, czeladnika ślusarskiego, wizowany do Rosyi i napowrót, świadectwa i książkę robotniczą, wystawione na imię Antoniego Bodnara. Bodnar mówi, że wrócił z Kanady, gdzie posiada farmę, gdyż słyszał, że go tu poszukują, a on do niczego się nie poczuwa.

Izraelicka opera. Z Paryża donoszą, że bankier tameczny Karol Erlanger napisał muzykę, a znany i u nas ze swoich odczytów publicysta izraelski, Catulle Mendès, napisał libretto opery pt. „Syn gwiazdy". Od czasu więc „Żydówki" Halevy'ego jest to pierwsza opera, będąca pod względem literackim i pod względem muzycznym wyrobem ducha izraelskiego. Motyw nowej opery osnuty jest na dziejach żydowskich. „Syn gwiazdy" to ów Bar Kochba, który usiłował wypędzić Rzymian z Judei, a którego dzieje wziął p. Alfred Nossig za temat do dramatu. Opera miała mierny sukces.

Mrozy na Syberyi. W dniu 23-ym bm. termometr Celsiusa wskazywał w Omsku +1·4, w Tomsku —0·6, w Irkucku —3·8, w Czycie +4·2, w Nikołajewsku —2·3, na Sachalinie —0·0 i we Władywostoku +4·0 stopni.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 7, w poł. + 8. Bar. 765. Podnosi się. Pochmurno.

Nasze sługi.

H r a b i n a: Mój Janie, zdaje mi się, że pijesz wódkę.

J a n: O! bardzo chętnie, pani hrabino.

P a n i do kucharki: Wiem, ile pieniędzy odkładasz codziennie z koszykowego.

K u c h a r k a: Jakim sposobem? Może pani była dawniej kucharką?

D a m a do nowej pokojówki: Idę do teatru, wrócę późno.

P o k o j ó w k a: Nie potrzebuje się pani usprawiedliwiać przedemną.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś przedstawienie artystów francuskich z Paryża, z p. Le Bargy, artystą komedyi francuskiej, i Henryką Roggers, artystką teatru Gymnase. Odegrane będą: „Markiz de Priola," sztuka Lavedana, i „Cottilon," komedya Lavedana. — W piątek po raz pierwszy „Doktor Rentlow," dramat w 3 a. przez Michalinę Schwarzównę, oraz „Crainquebille" Anatola France'a. — W sobotę „Gejsza", operetka Sidney Jonesa. — W niedzielę popołudniu „Posłaniec nr. 6666," operetka Ziehrera; wieczorem „Eros i Psyche," fantazya dramatyczna J. Żuławskiego. — W poniedziałek „Lysistrata," operetka Linckego, oraz „Cavalleria Lwowiana," parodya muzyczna B. Zeplera.— We wtorek „Wesele," dramat St. Wyspiańskiego.

Colosseum. Ostatni program w tym sezonie: Obrona Port Arthuru i wojna japońsko-rosyjska na lądzie; uratowanie rozbitków — sensacyjne obrazy bioskopowe. 6 wesołych kumoszek, atrakcya muzyczno-akrobatyczna. Melini, czarna tajemnica? — 10 nowych widowisk. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 26 kwietnia.

(Z). Z Paryża nadchodzą dziś nowe szczegóły o pożyczce rosyjskiej. Najbardziej sensacyjnym jest ten szczegół, że podobno minister finansów Rouvier bardzo niechętny jest całemu temu interesowi i o ile to w jego mocy leżało, starał się przeszkodzić dojściu jego do skutku, gdyż, zdaniem jego, Francya ma stanowczo za wiele papierów rosyjskich, a ulokowanie nowej prawie miliardowej pożyczki rosyjskiej we Francyi może tylko zaszkodzić francuskiemu kredytowi państwowemu. Ostatecznie jednak względy finansowe musiały ustąpić przed politycznymi, i p. Rouvier zgodził się na to, ażeby banki francuskie zrobiły ten interes, wymógł jednak na nich przyrzeczenie, że emisya tej nowej pożyczki rosyjskiej odbędzie się nie od razu, lecz częściowo, ażeby nie wywołać zaniepokojenia na paryskim rynku pieniężnym. Mianowicie suma 250 milionów franków puszczona być ma w obieg w dniu 12 maja, 150 milionów we wrześniu b. r., a 400 milionów dopiero w styczniu 1905. Musiał nadto rząd rosyjski zgodzić się na to, że walutę tej nowej pożyczki otrzyma nie w całości, lecz częściami i że część jej użyta zostanie na zapłacenie czerwcowego kuponu od znajdujących się we Francyi państwowych obligów rosyjskich. Rząd rosyjski zastrzegł sobie, że do syndykatu, przeprowadzającego sfinansowanie tej pożyczki, mogą należeć oficyalnie tylko banki francuskie, prywatnie jednak wolno im przyjmować do tego interesu wspólników, jakich im się tylko podoba. Instytut „Credit Lyonnais", który początkowo nie chciał absolutnie uczestniczyć w tej operacyi finansowej, ostatecznie zgodził się na przystąpienie do syndykatu. Bądź co bądź warunki, pod którymi przychodzi do skutku ta nowa pożyczka, nie dodają wcale blasku mocarstwowemu stanowisku Rosyi.

Na targu tutejszym cały interes spekulacyi koncentrował się około akcyi kolei północnej i kolei nadłabskiej. Zwłaszcza akcye kolei północnej są obecnie walorem bardzo faworyzowanym, dzięki wzrastającym stale, a bardzo znacznie dochodom.

Zdumiewająco świetny bilans wykazuje za rok ubiegły fabryka naboi w Hirtenbergu, której większość akcyi znajduje się w posiadaniu Zakładu kredytowego. Czysty zysk tej fabryki wzrósł w porównaniu z rokiem 1902 o przeszło 900.000 koron, wobec czego akcyonaryusze, którzy w roku ubiegłym otrzymali tylko 16 koron dywidendy, w tym roku otrzymają 40 koron.

Z Pragi donoszą, że gmina tamtejsza musi zaciągnąć na pokrycie tegorocznego deficytu budżetowego pożyczkę 3,100.000 koron, tudzież drugą pożyczkę 1,150.000 koron na budowę szkół.

Rada zawiadowcza Towarzystwa akcyjnego „Schodnica" uchwaliła zakupić tereny naftowe w Borysławiu, należące do firmy Scott & Ginsel za cenę miliona koron.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń 28 kwietnia. Przy wczorajszych uzupełniających wyborach do rady miejskiej z czwartej kuryi w 13 okręgach wiedeńskich zwyciężyli kandydaci chrześcijańsko-socyalni.

Wiedeń 28 kwietnia. Ministerstwo handlu, porozumiawszy się z ministerstwem spraw wewnętrznych, wydało do politycznych władz wszystkich krajów rozporządzenie w sprawie detektywów prywatnych, podnosząc szczególnie nadużycia, jakich się dopuszczają oni, mieszając się w sprawy prywatne i rodzinne. Rząd zatem widzi się zmuszonym dla tego zawodu zaprowadzić koncesye, a władze polityczne mają tych koncesyj udzielać z całą ostrożnością tylko osobom zupełnie nieposzlakowanym, z uwzględnieniem nadto istotnej potrzeby. Prawa dotychczasowych biur nie zostaną przezto naruszone.

Wenecya 28 kwietnia. Cesarz Wilhelm wyjechał osobnym pociągiem do Nizzy.

Petersburg 28 kwietnia. *Journal de Sanct Pétersbourg*, omawiając zajście w Smyrnie i zatarg sekretarza konsulatu greckiego z władzami tureckiemi, powiada, że wywołały one w Rosyi żywe echo. Rosya żywi szczerą wdzięczność za sympatye, jakie się objawiają dla niej w Grecyi od początku wojny. Usposobienie narodu greckiego dowodzi, iż umie on słusznie i realnie oceniać politykę i jej wpływ na przyszłość. W Atenach panuje oparte na faktach przekonanie, że Rosya w walce, toczącej się na Wschodzie, ostatecznie zwyciężyć musi; wiedzą też tam, że uporządkowanie stosunków na Bałkanach nie może być dokonanem bez współdziałania Rosyi.

Konstantynopol 28 kwietnia. Grecki poseł domaga się energicznie zadośćuczynienia za wypadki w Smyrnie. Porta gotowa jest dać to zadośćuczynienie, skoro tylko faktyczny stan rzeczy będzie stwierdzony. Podług opowiadań greckich, zajście w Smyrnie tak się przedstawia: Pewien grecki kupiec odmówił zapłacenia taksy spornej od czasu ostatniej wojny turecko-greckiej. Sekretarz greckiego konsulatu Delianis chciał przy pomocy 2 kawasów otworzyć sklep owego Greka, zamknięty przez tureckie władze. Policya nie dopuściła do tego. Gdy Delianisa chciano wydalić stamtąd, dał on 5 strzałów z rewolweru i zranił policyantów. Wówczas wraz z kawasami aresztowano go i wypuszczono na wolność dopiero za interwencyą francuskiego konsula.

Wiedeń 28 kwietnia. Cesarz zwiedził wczoraj przed południem wystawę spirytusową; powitali Monarchę u wejścia zaproszeni goście, ambasadorowie: niemiecki, francuski i rosyjski, liczni posłowie i w. i. osób. Cesarz zwiedził także oddział galicyjski, powitali go tam prezes Steingraber i posłowie polscy.

Wiedeń 28 kwietnia. Cesarz nadał apostolskiemu protonotaryuszowi w Rzymie, msgr. dr. Bilbertowi, który wręczył Monarsze monumentalne dzieło o malarstwie w rzymskich katakombach, odznakę *pro litteris et artibus*.

Budapeszt 28 kwietnia. Sąd odrzucił prośbę o wypuszczenie przywódców strejku z więzienia śledczego.

Rzym 28 kwietnia. Prezydent Loubet dał wczoraj obiad w ambasadzie francuskiej na cześć królestwa włoskich.

Budapeszt 28 kwietnia. Strejk w Debreczynie skończył się; wczoraj powrócili robotnicy do pracy.

Paryż 28 kwietnia. Strejk oficerów marynarki handlowej trwa dalej. Na kilku okrętach, gdzie zagrożono oficerom, że nie będą przyjęci z powrotem do służby, podjęli oni na nowo obowiązki. Strejkujący otrzymują z wielu miast telegramy z wyrazami współczucia i zachęty.

Rzym 28 kwietnia. Król i prezydent Loubet wyjechali dziś przedpołudniem do Neapolu.

(Depesze popołudniowe).

Poznań 28 kwietnia. Stan zdrowia x. arcybiskupa Stablewskiego pogorszył się i budzi poważne obawy.

Witebsk 28 kwietnia. W dzielnicy zamieszkałej przez ubogą ludność wybuchł groźny pożar, którego pastwą padła najstarsza w mieście cerkiew św. Eliasza.

Praga 28 kwietnia. W Suszycach rozpoczęli wczoraj strejk wszyscy robotnicy w garbarniach tamtejszych.

Waszyngton 28 kwietnia. Senat przyjął ustawę, przyznającą wolność od cła przedmiotom nadsyłanym na wystawę wszechświatową w St. Louis.

Rada państwa.

Wiedeń 28 kwietnia. W Izbie posłów odbywa się dziś dosłowne czytanie interpelacyj i wniosków.

Wiedeń 28 kwietnia. Komisya „dla nagany", wybrana na żądanie p. Choca, któremu Steinwender zarzucił wczoraj głupotę, odbyła dziś rano posiedzenie. Na wstępie wezwał przewodniczący p. Choca, aby zadowolił się przywołaniem Steinwendera do porządku. Choc sprzeciwił się temu, na co Steinwender oświadczył, że podtrzymuje swe słowa. Poseł B y k oświadcza, że wczoraj podczas jego nieobecności wybrany został referentem dla tej sprawy. Mandatu tego nie przyjmuje, bo w ostatnim czasie sprawy nagany stały się tylko pretekstem do obstrukcyi. Mówca przeto nie chce przez udział w dyskusyi, która się w Izbie wyłoni nad sprawą nagany, współdziałać w obstrukcyi, będąc jej stanowczym przeciwnikiem. Po dłuższej dyskusyi uchwalono udzielić Steinwenderowi naganę.

Wiedeń 28 kwietnia. Poseł Ellenbogen i tow. wnieśli interpelacyę w sprawie nadużyć przy wczorajszych wyborach uzupełniających do rady miejskiej w Wiedniu. Interpelanci wzywają prezydenta ministrów, aby polecił wdrożyć śledztwo karne. Poseł Klumper wniósł dziś interpelacyę w sprawie demonstracyj Niemców przeciw czeskiemu skrzypkowi Kocianowi w Insbruku.

Berlin 28 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·35. Spirytus 00·00.

Paryż 28 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·70. — Mąka („Fleur de Paris") 27·50.

Budapeszt 28 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 0·00—0·00, na maj 7·82—7·83, na październik 7·85—7·86; żyto na kwiecień 0·00—0·00, na październik 6·50—6·51; owies na kwiecień 0·00—0·00, na październik 5·47—5·48; kukurudza na maj 5·05—5·06, na lipiec 5·19—5·20. Rzepak na sierpień 10·85—10·95. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: ograniczona. — Usposobienie: spokojne. Pogoda: pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 28 kwietnia.

Marki 117.27, renta majowa 99.70, węgierska renta koronowa 97 90, akcye: austr. zakł. kredyt. 645·00, węg. zakł. kred. 760·50, anglobanku 279.50, unionbanku 517.50, bankvereinu 514·00, länderbanku 427·00, kolei państw. 64475, lombardy 83 25, akcye kolei Elbethal 424.50, fabryki broni 465·00, tytoniowe 000.00, alpiny 414 50, Rima Muranyi 493.50, prag. Tow. żel. 0000·00, losy tureckie 132.25, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

Lwów 28 kwietnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 585·00 do 545.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc los w 50 lat 101.50 do 102·20, 4 proc. los w 60 lat 98 80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102.20 do 102.90. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·80 do 100.00 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·20 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99 50 do 100 20.

Obligi za 100 K: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 99.60 — 100·80 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1898 r. 99.50—100·20 miasta Lwowa 4 proc po 200 koron 97.00 do 97.70 4½% po 200 koron 00.00 do 101.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*

Z Rzeszowa: 10.25.

Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.80 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10·02*.

Z Tarnopola: 8.50* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.

Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9·30*.

Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.

Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4 35, 10.40*.

Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.

Z Jaworowa: 8.20, 5.20.

Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15, 10.55

Do Rzeszowa: 6.25.

Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24

Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza

Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.

Do Stanisławowa: 6.05*.

Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.

Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.

Do Jaworowa: 6.51, 3.50.

Do Sambora: 9·25, 3·40.

Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele)

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

49)

Dama pikowa.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy.)

Przy świetle dwu latarni, jasno płonących, można było rozróżnić kolor pudła, maść konia i lisiurę stangreta.

Zresztą drzwiczki otworzyły się natychmiast, z powozu wysiadł jegomość, owinięty w płaszcz szeroki, w tej chwili właśnie, gdy głuchoniemy odwrócił głowę na prawo.

Właściciel powozu skinął ręką na niego, trzymając drugą na drzwiczkach. Głuchoniemy, bez wahania, zbliżył się do człowieka, który zapraszał go do powozu.

— Dobrze, jak po maśle — rzekł po cichu Piédouche. — Ten osioł wpada w pułapkę. Czy też wsiądzie... Ot, już i siedzi w karecie.

Istotnie, głuchoniemy podszedł do jegomości w obszernym płaszczu i bez wahania wsiadł do karety, jegomość wskoczył za nim i drzwiczki zatrzasnął.

— Okazuje się, że pomysł Tolbiaca był niezły — szepnął Piédouche. — Nie sądziłem, że głuchoniemy da się wziąć na taki kawał.

— Swoją drogą — wycedził przez zęby — Tolbiac spóźnił się i mógł siebie i nas zgubić... bo gdybyśmy tak byli wzięli jego powóz za tamten...

Stangret zaciął konie. Karetka pomknęła, jak strzała i otarłszy się niemal o dwu agentów, przez bulwar Mazas pędziła w stronę placu Tronowego.

— Skończyła się już nasza pańszczyzna! — zawołał Pigache. — Teraz jedźmy do naczelnika, a że nam pozwolił wziąć dryndę na koszt zarządu, więc nie będziemy darli butów.

— Milcz — szepnął Piédouche, chwytając go za rękaw.

— Tam do licha! Cóż to nowego — mruknął nr. 33.

Po odjeździe karetki z głuchoniemym, ukazała się tamta. Zdążała powoli do bramy. Przez uchylone okno było widać głowę, bardzo podobną do głowy p. Tolbiaca de Tinchebray.

Piédouche oczom własnym nie wierzył. Lecz kary koń stanął.

Z karetki wysiadł jakiś pan i rozejrzał się dokoła, przypatrywał się zwłaszcza bramie więziennej.

Po ubraniu, po ruchach, a zwłaszcza po sposobie przyglądania się wszystkiemu, dwaj agenci poznali detektywa, któremu byli przydani do pomocy i zdumienie ich nie miało granic.

Pigache nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy z położenia, ale Piédouche sprytniejszy, zaczynał podejrzewać, że okropnego bąka strzelili. Chcąc wyświetlić sprawę, podszedł wprost do jegomościa, który wysiadł z karety.

Był to istotnie Tolbiac. Zwrócił się ostro do agentów.

— Zabroniłem wam opuszczać stanowisko. Wracajcie na miejsce — rzekł. — Już ósma wybiła. Głuchoniemy wyjdzie zaraz. Nie powinien was widzieć ze mną. Dalej na miejsca. Co się gapicie?

— Głuchoniemy! — szepnął Piédouche. — Wszak on już odjechał...

— Jakto odjechał? Czyś oszalał?

— Nie, widziałem na własne oczy, jak wsiadł do powozu, który popędził w stronę bulwaru.

— I puściłeś go, nędzniku — krzyknął p. Tolbiac, chwytając agenta za kołnierz i potrząsając nim gwałtownie.

— Proszę mnie puścić — wołał Piédouche, wcale nie stropiony.

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie wytłómaczysz swojego postępienia, łotrze jeden.

— O! bez wymyślań — odciął się numer 29, wyrywając się z rąk Tolbiaca. — Tego już za wiele. Jeśli głuchoniemy umknął, to z pańskiej winy, nie z mojej.

— Jak śmiesz tak mówić?

— Powiadam, że z temi pańskiemi wymysłami, to się tylko sprawa plącze. Gdyby pan kazał stanąć przy bramie, to tamten powóz nie byłby panu zmiótł głuchoniemego z przed nosa...

— Ale ty widziałeś moją karetkę... poznałeś ją...

— Niezupełnie. Naprzód latarnie paliły się bardzo niejasno, powtóre stangret nie miał futrzanego kołnierza... prawda, że już go włożył, ale go nie miał, przyjeżdżając.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię, a nie mogłem się domyślać, że kareta, zupełnie podobna do pańskiej, sprzątnie panu zdobycz z pod nosa i to w chwili, gdy zegar wybijał ósmą.

— Uprzedziłem cię, że przyjadę o pięć minut przed ósmą i przyjechałem.

— Istotnie, ale choćbym chciał przeszkodzić głuchoniememu wsiąść do tamtej karetki, nie mógłbym, bo mi nie wolno było ruszyć się z miejsca.

— Wiedziałeś, że miałem wysiąść i skinąć ręką na głuchoniemego...

— Jakiś pan tego samego wzrostu, tak samo ubrany, wykonał te ruchy. Mój towarzysz widział to, równie dobrze jak i ja. Dziwne to bardzo, ale tak było.

— Takie to dziwne — rzekł ostro pan Tolbiac — że wytłómaczyć sobie tego nie potrafię.

— Czego pan nie rozumie?

— O! nie udawaj głupiego... Wiesz, o co mi chodzi. — Dostałeś pieniądze, żeby głuchoniemego puścić na wolność.

— To bardzo posądzenie!

— Ile ci dał ojciec Lecoq za tę sztuczkę?

— Ojciec Lecoq? Ja go nie widziałem od rana.

— Trzeba to będzie dowieść. Jestem pewny, żeście się porozumieli i oświadczam, że to wykryję. Tymczasem czekają na nas przy ulicy Mont-Thabor. Pojedziecie tam ze mną obaj. Zobaczymy, co powie naczelnik.

— Tak, zobaczymy — zawołał Piédouche. — Jeżeli pan ma w tem jakie łajdactwo, to dopuściłeś go się pan, albo ja. Jeden z nas dwóch, a który, to pan naczelnik wyjaśni.

Zawołał na przejeżdżającą dorożkę i rzekł do Tolbiaca:

— Wsiadam w dryndę z Pigache'em. Jeżeli pan się boisz, żebym nie umknął, to jedź za nami. Ale nie ma obawy, nie drapnę po drodze, bo i mnie pilno wyświetlić tę sprawę.

Detektyw rad nie rad musiał się zgodzić na tę propozycyę.

— Dobrze — zawołał. — Będę jechał za wami, a że mój koń lepszy od dorożkarskiego, więc się nie obawiam, że umkniesz. Uprzedzam jednak, że poradzę twemu zwierzchnikowi, żeby cię wpakował do więzienia, jako wspólnika podsądnego.

— Zobaczymy — odparł Piédouche, wzruszając ramionami. — Ale prawda, jeżeli pański koń biegnie tak szybko, to czemu pan nie kazał stangretowi pogonić za karetką, która uniosła głuchoniemego? Przecież ja panu w tem nie przeszkodziłem. Bądź pan pewny, że powiem to naczelnikowi.

Wskoczył do dorożki, towarzysz za nim. P. Tolbiac wsiadł do karetki.

— Ładnieśmy się ubrali — rzekł Pigache.

— Nic sobie z tego nie robię — odpowiedział Piédouche z dobrą miną. — Sprzykrzyło mi się już słuchać tego błazna, który obiecuje tysiąc franków, a potem chce mnie wygryźć, spychając na mój kark swoje winy. Tem gorzej, jeśli naczelnik słuszności mi nie przyzna.

Pigache milczał. Obaj agenci nie zamienili już ze sobą ani słowa aż do chwili, gdy dorożka stanęła przy ulicy Mont-Thabor. Karetka zatrzymała się za nią.

Ojciec Lecoq nie mógł się już doczekać godziny, wyznaczonej mu przez szefa policyi, wyszedł przed dom, w którym miały się rozstrzygnąć losy jego syna.

Szef policyi nie uznał za stosowne wystąpić w zwykłym charakterze urzędowym.

Przyjechał powozem wynajętym, z sędzią śledczym i podsądnym.

Agent i dwu sierżantów w ubraniu cywilnem czekało na nich przed bramą.

Agent wszedł do domu ze swoim zwierzchnikiem.

Dwaj sierżanci mieli stać na ulicy, gotowi na każde wezwanie.

Trzymano się ściśle programu, nakreślonego przez pana Tolbiaca.

Tylko ojciec Lecoq odstąpił od niego.

Zamiast przybyć o dziesiątej do gabinetu szefa policyi, jak było umówionem, przyszedł o ósmej i ukrył się w ciemnem węgle naprzeciw mieszkania syna.

Widział ekwipaż, który go przywiózł, widział, jak zapalano światło w antresoli, czekał niecierpliwie na przybycie głuchoniemego i chciał wyjść na spotkanie szefa policyi, gdy ten ukaże się na ulicy.

Miał nadzieję, że przyjaciel uwzględni jego niepokój, przebaczy mu także pominięcie dyscypliny i doniesie mu o rezultacie próby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.